

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM V

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 3

Fo ego

ANTONI SŁONIMSKI
CZESŁAW MIŁOSZ
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
IZAAK DEUTSCHER
DOROTA FALSKA
KSAWERY PRUSZYŃSKI
KAROL ESTREICHER
BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI
STEFAN THEMERSON
ANDRZEJ NOWICKI
MARIA FIDERER
KRZYSZTOF RADZIWILL
ZOFIA KOSSAK
BOLESŁAW SKARŻYŃSKI

LONDYN
GRUDZIEN

66





Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne

Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe

Orkiestra kontynentalna

Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1

Tel. MAYfair 0826

KOSTIUMY skrojone przez VANEK'A

noszą na sobie cechę mistrzowskiego ujęcia specjalisty kontynentalnego.

Świetnie skrojone i uszyte wyłącznie z najlepszych materiałów.

4, WILLIAM STREET
Knightsbridge

London, S. W. 1.,

również w BOURNEMOUTH

POLSKI KUŚNIERZ

dawniej Katowice

LANGER & CO. (FURRERS) LTD.

59 Knightsbridge, London S.W.1

Tel.: SLOane 3626

Wykonuje NOWE FUTRA i przeróbki z własnych i powierzonych materiałów.

UWAGA! Wyjątkowa 25%-towa zniżka cen futer gotowych na składzie.

Specjalne udogodnienia dla prowincji.

SPIS RZECZY

	Str.
ANTONI SŁONIMSKI — <i>Golem</i>	129—132
CZESŁAW MIŁOŚZ — <i>Pożegnanie</i>	132—133
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ — <i>Zmartwychwstań; Ogrody; W domu</i>	133—134
IZAAK DEUTSCHER i DOROTA FASKA — <i>Sierpień w Westfalii</i>	134—144
KSAWERY PRUSZYŃSKI — <i>Lot do kraju</i>	145—148
KAROL ESTREICHER — <i>Zmiany</i>	148—160
BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI — <i>Do eutanazji powszechnej liryczne prolegomena</i>	161—163
STEFAN THEMERSON — <i>Bayanus</i>	164—169
ANDRZEJ NOWICKI — <i>Ballada o trzech oknach</i>	170
MARIA FIDERER — <i>Refleksje i Sentencje</i>	170—180
KRZYSZTOF RADZIWIŁ — <i>W oczach Londynu</i>	180—182
ZOFIA KOSSAK — <i>Bez patosu</i>	183—185
BOLESŁAW SKARZYŃSKI — <i>Motywy polskie w piśmiennictwie szwedzkim w czasie wojny</i>	185—187
Przegląd książek i wydawnictw	188—192

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM V

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 3

LONDYN

GRUDZIEŃ

1945

ANTONI SŁONIMSKI

G O L E M

Already before the release of atomic energy the tensions between the old way of living and the new were intense. These bombs did but accentuate and dramatise an already developing problem.

... The moral shock of the atomic bombs had been a profound one, and for a while the cunning side of the human animal was overpowered by its sincere realisation of the vital necessity for reconstruction.

H. G. Wells, "The World Set Free", 1913 (!)

Niejednokrotnie na łamach „Nowej Polski” dawaliśmy wyraz obawom i nadziejom związanym z postępem wiedzy ścisłej i cywilizacji technicznej.

Staraliśmy się zwrócić uwagę na kardynalne fakty z dziedziny ekologii. Ostatnie lat kilkadziesiąt bardziej oblicze świata zmieniły niż dokonać tego mogły tysiąclecia. Cywilizacja techniczna zmieniła warunki bytu na ziemi i stało się jasnym, że człowiek albo się do tych nowych warunków przystosować zdoła albo zginie. Wydawało się jednak, że tempo postępu cywilizacji technicznej da się opanować i że wyścig między techniką a organizacją jeszcze nie jest przegrany.

Dzień szóstego sierpnia 1945 roku zmienił ten stan rzeczy. Stało się to nad niegdyś istniejącym miastem japońskim Hiroszima. Pierwsza rzucona wtedy bomba atomowa miała siłę równą dwudziestu tysiącom ton T.N.T. Już po paru miesiącach wyprodukowano bombę o sile równej dwu milionom ton. Jakiegokolwiek byłoby tempo dalszych odkryć i udoskonaleń już dziś stwierdzić możemy, że rok 1945 różni się zasadniczo od wszystkich lat, które na naszej planecie przeżył gatunek Homo Sapiens. Po raz pierwszy bowiem glob ziemski ulec może katastrofie nie tylko kosmicznej, to znaczy spowodowanej zderzeniem się z innym ciałem niebieskim, ale zginąć może z ręki człowieka.

Nie trzeba zbyt bujnej wyobraźni aby przedstawić sobie w przybliżeniu konflikt wojenny za lat parę czy kilkanaście. Nie jest wykluczone, że rozpocznie się od wybuchu setek nowych bomb atomowych. Wybuch paruset milionów czy paru miliardów ton T.N.T. wywołać może poza spustoszeniem straszliwym reakcje trudne do przewidzenia. Uczni dzisiejsi z najwyższym niepokojem mówią nie tylko o wojnie przyszłości ale ostrzegają, że już dziś, niedość ostrożnie prowadzone eksperymenty spowodować mogą kataklizm. Nie trzeba przy tym zapominać, że bomba atomowa jest j e d n y m tylko z odkryć, których tempo idzie rytmem przyspieszonym.

Nie ma drogi powrotu i wyrzeczenia się osiągnięć naukowych. Energia atomowa istnieje i b ę d z i e zużyta. Albo na dobro albo na zło. Nie wydaje się słusznym twierdzenie, że osiągnąć musimy równomierność w postępie techniki z postępowaniem w dziedzinie wychowania i moralności. Wynalazek ognia przypadł w udziale człowiekowi jaskiniowemu, który z pewnością nie był dostatecznie moralnie przygotowany do użycia tej siły zarówno twórczej jak i niszczycielskiej. Trudno znaleźć kryteria moralności, która by zbiorowości dawała niekontrolowane prawo posługiwania się energią rozkładu atomu. Trudno przewidzieć cykliczność odkryć i synchronizować mutacje, których mechaniki jeszcze nie znamy. Narazie skazani jesteśmy na szukanie rozwiązań doraźnych i logika nie podsuwa nam innych, poza unifikacją świata rozwiązań.

Niestety argumenty naukowe nie wielki wpływ mają na bieg wypadków. Bertrand Russell opisuje jak Galileusz z wieży w Pizie zrzuci dwa ciężarki. Pięć funtowy i dziesięć funtowy. Według teorii Arystotelesa ciężarek dziesięć funtowy powinien spaść dwa razy szybciej od pięć funтового. Ciężarki spadają jednocześnie. Uczni w piśmie patrzą na to, odchodzą i dalej głoszą tezy Arystotelesa.

Najwybitniejsi uczeni naszych czasów, pisarze i myśliciele przedstawiają światu całą grozę sytuacji, wytworzonej przez istnienie energii atomowej. Mężowie stanu, politycy i publicyści czytają to, odchodzą i dalej pracują nad tworzeniem polityki bloków, równowagi sił, sfer wpływów, mówią o granicach strategicznych, pochłonięci grą pionków na szachownicy politycznej, nie zdając się zwracać uwagi na to, że szachownica ta wymalowana jest na skrzynce z bombą U.235.

Pokolenie ludzi wychowanych na Spencerze i teorii ewolucji marzyło kiedyś o tej chwili gdy ludzkość pokona siły natury, gdy walka z przyrodą stanie się anachronizmem, gdy nauka usunie nędzę, głód, lęk istnienia; uskrzydli człowieka, ustokrotni jego siły, rozszerzy jego pole widzenia. Jakże obraz dzisiejszy daleki jest od marzeń pozytywistów wieku dziewiętnastego, jakże daleki od marzeń mego pokolenia wychowanego na wiel-

kich pisarzach socjalistycznych, na humanitaryzmie naukowym G. H. Wellsa.

Przeżyliśmy pierwsze upojenia lotnictwa. Naszemu pokoleniu danym było patrzeć na cud maszyny cięższej od powietrza odrywającej się od ziemi. Pamiętam dziś jeszcze tę emocję, z jaką śledziliśmy pęd biplanu rosyjskiego lotnika Utoczkińa, który na warszawskim polu mokotowskim zdołał unieść się i utrzymać w powietrzu sekund trzydzieści.

Pamiętamy pierwsze zachwyty nad fotografią ruchomą, pierwsze przedstawienia warszawskich bioskopów, gdzie obok „Czarnej Magii”, sztuk prestidigitatorów i połykaczy ognia objawił się cud znacznie bardziej fantastyczny: przeczerniony i dygocący obraz pędzącej na ekranie lokomotywy.

Długie godziny siedzieliśmy ze słuchawkami na uszach, manipulując przy ogromnych i skomplikowanych skrzyniach pierwszych aparatów radiowych aby wreszcie wyczarować z przestrzeni muzykę płynącą z ciemności. Mówiliśmy wtedy z dumą: „Słuchałem Berlina, co więcej wczoraj złapałem Rzym”. Upajała nas odległość tych miast. Odczuwaliśmy żywo tę chwilę triumfu ducha nad materią, tę chwilę pierwszą obalenia przestrzeni.

Potem gdy długie lata kryliśmy się przed samolotami w schronach, gdy otwieraliśmy radia aby słyszeć groźby i krzyki demagogów, pocieszaliśmy się myślą zwycięstwa i ostatecznego triumfu dobra nad złem. Nim przyszło to zwycięstwo widzieliśmy latające bomby i rakiety spadające ze stratosfery. Aż wreszcie zielonym błyskiem nieznanego dotąd oczom ludzkim światła rozprysła pierwsza bomba atomowa.

Nie radujemy się pokojem. Gdy otacza nas gwarny tłum świąteczny na Piccadilly, gdy idziemy w złotym słońcu zachodu po okwieconych drogach Kornwalii, wszędzie towarzyszy nam przybysz nowy, cień nieodłącznej zadumy. Dobre duchy naszej młodości przeobraziły się w groźne demony. Golem, ten olbrzym gliniany, ożywiony tajemną wiedzą rabiniczną, który straszył ghetto Pragi, rozrósł się i ramionami ze stali sięgnął nieba. Jak w złym śnie szukamy zapomnianego słowa zaklęcia, które odbierze siły temu goniącemu nas potworowi. Gdzież znaleźć to słowo?

Gdy porównamy dwie karty, dwa rejestry, tego co nam grozi i tego, co ma nas ochronić, z przerażeniem przyjdzie nam skonstatować, że druga z tych kart rejestru niemal jest pusta. Na cóż bowiem możemy liczyć? Co uchroni nas przed potwornymi siłami zniszczenia?

Nie znajdziemy tych zbawczych słów zaklęcia w przemówieniach zawodowych polityków na konferencjach międzynarodowych, bo przedstawicielami tych państw są urzędnicy dbający o doraźny interes swego rządu lub własną karierę.

Nie znajdziemy tych słów zaklęcia w stolicy apostołskiej, która błogosławiła falangi faszystów idące na podbój świata.

Szukać tych słów musimy w wypowiedziach poetów, filozofów i uczonych. Fantazja i wiedza ludzka stworzyła ten świat grozy mechanicznej i tylko ona zdolna jest wywieść nas z domu niewoli technicznej i wskazać drogę do obiecaney ziemi obfitości. Nauka wyzwolona z rąk kapitału i nacjonalizmu, stanąć musi do służby Zjednoczonych Mas Pracujących Świata.

Nowy stan rzeczy wymaga reakcji śmiałych i szybkich. Musimy mieć odwagę, gdyż bez niej grozi nam zagłada. Musimy mieć odwagę zerwania z przeszłością, z wiarami i przesądami, choćby najbardziej uświęconymi, bo zaciemniają nowe na świat spojrzenie. Nie ma już dziś krajów, narodów i klas. Wszyscy jesteśmy równi wobec bogactw tej ziemi i wszyscy zrównani w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Teza Democritusa z Abdery o niepodzielności atomu została obalona. Zrodziła się prawda nowa o niepodzielności globu ziemskiego.

CZESŁAW MIŁOSZ

POŻEGNANIE

Mówię do ciebie po latach milczenia
Mój synu. Niema Weronie.
Roztarłem pył ceglany w palcach. Oto co zostaje
Z wielkiej miłości do rodzinnych miast.

Słyszę twój śmiech w ogrodzie. I wiosny szalonej
Zapach po mokrych listkach przybliży się do mnie,
Do mnie, który nie wierząc w żadną zbawczą moc
Przeżyłem innych i samego siebie.

Żebyś ty wiedział jak to jest, gdy nocą
Budzi się nagle ktoś i zapytuje
Słyszając bijące serce: Czego ty chcesz jeszcze
Nienasycone? Wiosna, Słowik śpiewa.

Śmiech dziecinny w ogrodzie. Pierwsza gwiazda czysta
Otwiera się nad pianą nierozkwitłych wzgórz,
I znów na usta moje wraca lekki śpiew
I młody znowu jestem jak dawniej, w Weronie.

Odrzucić. Odrzucić wszystko. To nie to.
Nie będę wskrzeszać, ani wracać wstecz.
Śpijcie Romeo i Julio na wezglowiu z potrzaskanych piór,
Nie podniosę z popiołu waszych rąk złączonych.
Opustoszałe katedry niech nawiedza kot
Świecąc żrenicą na ołtarzach. Sowa
Na martwym ostrołuku niech uściele gniazdo.

W skwarne białe południe wśród rumowisk wąż
Niech grzeje się na liściach podbiału i w ciszy
Lśniącym kręgiem owija niepotrzebne złoto.

Nie wróćę. Ja chcę wiedzieć co zostaje
Po odrzuceniu wiosny i młodości
Po odrzuceniu karminowych ust
Z których w noc parną płynie
Fala gorąca.

Po odrzuceniu pieśni i zapachu wina,
Przysiąg i skarg i djamentowej nocy
I krzyku mew za którym biegnie blask
Czarnego słońca.

Z życia, z jabłka które przeciął płomienisty nóż
Jakie ocali się ziarno.

Synu mój, wierzaj mi, nie zostaje nic.
Tylko trud męskiego wieku
Bruzda losu na dłoni
Tylko trud
Nic więcej.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

ZMARTWYCHWSTAĆ

Zmartwychwstać — znaczy wyrosnąć jak drzewa,
Jak mocne dęby jak wysokie świerki.
Zmartwychwstać znaczy — odrzucić kamienie
I krew, i miecze, i żar poniewierki...

Zmartwychwstać — znowu popaść w błędne koło?
I znowu ręce podnosić na braci?
Jakiż Bóg wszystko obliczy pospołu
Krwia za krew, mieczem za kamień zapłaci?

Zmartwychwstać — znaczyć zasnąć na głębinie
I tylko myśleć o pogody żaglu?
Zmartwychwstać? Umrzeć? Zasnąć? Czy też zginać
I pośród burzy obudzić się nagle?

Zmartwychwstać — znaczy nauczyć się mówić,
Nauczyć patrzeć, nauczyć się chodzić
I poraz pierwszy ujrzeć się wśród ludzi.
Zmartwychwstać znaczy się urodzić.

O G R O D Y

Gdzież Delila ogrody, sady Mickiewicza?
Odpływają jak wyspy na rzece historii.
Kto ma czas, niech płynące obłoki przelicza
Koloru bzu lub listków zielonych cykorji.

Słowo ogród jak wiele zawsze miało treści
Czasem pełne powabu, czasem pełne smutku...
Tak ten wiersz, niech karotkę razem z różą, zmieści
Połączone, jak w małym działkowym ogródku.

W D O M U

Nad domem błękit jak baldachim
Taki jaskrawy i głęboki.
Pod białych brzózek arkadami
Fruwają wyfraczone sroki.

Błądzimy obcy i dalecy,
Każdy każdemu nieznajomy,
Jak porzucone w zimnem niczem
Samotne gwiazdy czy atomy.

Kawki wiosenne gniazda ścielą.
I czarnem skrzydłem błękit kryślą.
Córki czytają mądre książki.
Co one sobie o mnie myślą?

Czy wiedzą, jakie księżycowe
Pejzaże we mnie samotnieją?
Czy wiedzą jak się żalem szarpie
Pomiędzy śmiercią a nadzieją?

Czy widzą czarne moje głębie
W kamiennych całe śpiące złomach?
Kiedy czytają w jasnym słońcu
Książki o gwiazdach i atomach?

IZAAK DEUTSCHER i DOROTA FALSKA

SIERPIEŃ W WESTFALII

Gęsty mrok kładł się na szosę, prowadzącą z Wesel do Monastyru. Mgła otuliła kontury domów i zabudowań wiejskich poszarpane niedawną siekaniną ognia artyleryjskiego. Drogi i szosy, wiodące od granicy belgijskiej i holenderskiej w głąb monotonnej równiny westfalijskiej, są jeszcze poryte lejami. Mosty wysadzone w powietrze to punkty, w których sieci dróg przecięte zostały niecierpliwą, bezwzględną ręką wojny. Saperzy wytyczyli trasę do sztabu Marszałka Montgomery'ego — „240 UP”. Biegnie niezniszczonymi odcinkami szos, pętlami długich objazdów, skrawkami bocznych dróg i polnych wertepów. Szofer nieobeznany z terenem natęży wzrok, by przy zapadającym zmroku rozeznac sygnały drogowe. Trzeba trzymać się, trzymać się kurczowo drogowskazu „240 UP”. Inaczej ugrzęźniemy w trzęsawiskach, w błotach, które ciągną się tu jeszcze od pól flandryjskich, lub wylądujemy na dnie fantastycznego leja. W najlepszym razie trzeba będzie zawrócić, cofnąć się do najbliższego skrzyżowania dróg i od ostatniego drogowskazu mozolnie wypatrywać dalszego ciągu trasy.

Lunał rześisty deszcz. Znów zgubiliśmy drogę. Wkłamy się niecierpliwie w sieci dróg i szos. Zatrzymujemy się u przyczółków rozbitych mostów, przeprawiamy się kładkami pontonowymi przez lśniąca czerń rzek i kanałów. Znów jesteśmy na szosie. Deszcz ustaje, mgła przerzedza się. Przed oczyma migają gęste, czarne żywopty. Zanurzamy się w Boecklinowską noc pobitych i powalonych Niemiec. Tu i ówdzie rozjaśni ją na chwilę widok wsi, a we wsi szaro-żółta ścieżka, wydeptana między ruinami chałup, prowadząca nie wiadomo dokąd, może do jakiejś piwnicy, z której nagle zamigoce światelko jak ogień tuż pod nogami wędrowca. Potem znów gęste, czarne żywopty — szpalery nocy zamykające widok na świat. Raz po raz przewali się z hukiem ciężarówka wojskowa. Potem znów mrok i pustka.

Co kryje się za tą ciszą? Trzy miesiące minęły od zawieszenia broni; a mimo to wciąż trudno oswoić się z wrażeniem tej niesamowitej pustki. Gdyby jakiś zabłąkany strzał przeszył w tej chwili powietrze, obraz tej nocy stałby się może bardziej rzeczywisty. Ta cisza, niemiecka cisza, bulgocząca deszczem, ten mrok nie kryjący w sobie żadnych niebezpieczeństw, ten niezawodny porządek na trasie, na której nic nam nie grozi, na której ani jeden drogowskaz nie zostanie zerwany ręką sabotażysty — wszystko to stwarza obraz nierzeczywisty i niepokojący swą fantastycznością. Zagadka tego obrazu raz poraz staje przed nami w długiej, 15-tysięczno kilometrowej wędrowce po Niemczech. Jest coś klinicznego w tej naglej martwocie panującej w kraju, który do niedawna huczał milionogębnymi groźbami oraz hasłami i dudnił pod bezustannym marszem szturmówek, kolumn żołnierskich i dywizji pancernych. Jest w tej ciszy coś z bezwładu, który nagle zwala z nóg furiała po długim, ostrym i wyczerpującym ataku szału. Wyczerpane do cna swym własnym dynamizmem imperialistycznym i ogłuszone potęgą ciosów, które na nie spadły, Niemcy runęły z bezwładnością kłody od nóg zwycięzców.

Znów lunał deszcz i znów od nocy sierpniowej zawiało jesienną, listopadową szarugą.

W miasteczku, na skrzyżowaniu dróg wchodzimy do domu, służącego Anglikom za kwaterę, by zapytać o dalszą drogę. W pokojach na parterze porozwieszane płaszcze żołnierskie i tornistry. Pod ścianą karabiny w zamprowiszowanym stojaku. Przez kilka długich chwil krążymy po domu przez nikogo nie zatrzymywani, jak gdyby nie było tu żywej duszy. Zwycięzcy widocznie czują się tu tak bezpieczni jak gdyby kwatera ich znajdowała się gdzieś w Yorkshire lub na przedmieściach Londynu. Wreszcie jakiś zaspany głos odzywa się z górnego piętra; nie pytając kto zacz tłumaczy przybyszom, jak przebrnąć przez zawiłą pętlę dróg za miasteczkiem. Na ulicy uczynny, niemal usłużny, Niemiec jeszcze raz długo i dokumentnie wyjaśnia nam to samo, moknąc cierpliwie i dobrodusznie na deszczu. Przy świetle samotnej lampy czytamy ostrzegawczy napis na tablicy: „Strzeż się! Jesteś w kraju nieprzyjacielskim! Nie wolno bratać się z Niemcami!”. Ostrzeżenie brzmi jak wyświechtany frazes reklamowy — „Uśmiechnij się”, „Używaj pasty Odol” — po którym obojętnie prześlizgnie się wzrok przechodnia.

Po obu stronach szosy zwały rumowisk stają się coraz gęstsze. Wjeżdżamy do Monastyrzu. Znów wita nas szkielet rozbitego mostu. Z chodnika zawałonego gruzami, z kup cegieł, żelastwa i kamienia spływają błotniste strumienie deszczu i zlewają się na jezdni w jedną ogromną, czarną kałużę. Nie sposób podróżować dalej tej nocy. Trzeba znaleźć nocleg w Monastyrze. Między kikutami kościołów, między basztami i wieżami nie wiadomo do czego należącymi, przeprawiamy się do przygodnej kwatery, która niedawno służyła oddziałowi SS za koszary. Szczyty ścian pokryte są tu jeszcze patetycznymi gotyckimi hasłami, wielbiącymi cnoty SS, zew krwi nordyckiej, chwałę podboju i śmierci oraz mistyczną jedność narodu z Führerem. Opary mitu germańskiego unoszą się tu

jeszcze w powietrzu jak zapach trupi w izbie, z której dopiero co wyniesiono nieboszczyka. Nawet w kuchni koszarowej, gdzie wesoly cockney smaży po północy jajecznicę dla spóźnionych gości, duchy opiekuńcze Nibelungów Trzeciej Rzeszy, spozierają z malowideł ściennych, zdziwione widokiem obcych przybyszów.

Rozmowa z oficerami sztabowymi angielskiego Military Government. Po północy pukają nieśmiało do drzwi i zapraszają na pogawędkę i whisky. Pełnili służbę w Kwaterze Montgomery'ego i zostali wczoraj zdemobilizowani. W drodze do Londynu utknęli na noc w Monastyrze. Wracają do kraju tuż po „labourzystowskim trzęsieniu ziemi”. Spokojny, nie podejrzewany o skłonność do płatania złośliwych figlów, wyborca angielski obalił Churchilla i powołał do władzy Attlee w chwili gdy w Poczdamie trwała konferencja Wielkiej Trójki. Oficerowie z Kwatery Głównej nie ochłonęli jeszcze od wrażenia tej niespodzianki. Jeden z nich jest w życiu cywilnym adwokatem, doradcą prawnym kilku wielkich przedsiębiorstw. Drugi jest businessmanem pochodzenia południowo afrykańskiego. Londyński prawnik sprzyja zmianie. Sam głosował na Labourzystów nie bardzo wierząc, by głosem swym miał się przyczynić do zmiany rządu. Tak, jest to oczywiście skok w niewiadome, ale nie jest to skok karkołomny — powiada jak gdyby na swoje usprawiedliwienie. Nasi socjaliści przez kilka lat, jako ministrowie rządu koalicyjnego, nauczyli się sprawować władzę i borykać się z problemami administracji. Dadzą sobie więc radę. Południowy Afrykańczyk nie podziela tego optymizmu i przypuszcza, że Stalin będzie traktował szefa rządu socjalistycznego z mniejszą rewerencją niż wodza konserwatystów, który poprowadził Anglię do zwycięstwa. Skomplikuje to oczywiście sytuację w Niemczech. Rozmowa przechodzi na temat zwyciężonego kraju. Obaj oficerowie pełni są złowieszczych przeczuć.

— Niemcy będą ginęli jak muchy tej zimy — powiada zdemobilizowany adwokat. — Będą ginęli z zimna i wycieńczenia. Nie rzucam tych słów na wiatr. Pracowałem w Zagłębiu Ruhry i z urzędu musiałem śledzić co dzieje się w przemyśle węglowym. Jestem przekonany, że gdybyśmy chcieli, potrafilibyśmy postawić przemysł ten na nogi w bardzo szybkim czasie. Tymczasem w Ruhrze wydobywa się śmiesznie małą ilość węgla. Dlaczego? Nie dlatego by kopalnie w Ruhrze zniszczone były bombami. Zniszczeń jest bardzo mało. Ale dlatego, że naszym eksporterom węglowym nie bardzo uśmiecha się widok odrodzenia konkurencyjnego przemysłu węglowego. Mój dowódca-brygadier — pokazał mi niedawno list od przyjaciół w Anglii, w którym zaklinano go, by nie wkładał zbytniej gorliwości w podnoszenie produkcji węgla nad Ruhrą.

Spojrzelśmy pytająco na konserwatywnego przemysłowca z Południowej Afryki. Nie zaprzeczył wywodom swego towarzysza.

— W mojej dziedzinie — odezwał się — też dzieją się rzeczy dziwne i niewyjaśnione. Powtarzamy sobie wciąż w kółko ponure przepowiednie na temat braku żywności lub głodu, który zapanuje za kilka miesięcy. Rolnicy niemieccy skarżą się na brak maszyn. Należałoby więc puścić w ruch fabryki maszyn rolniczych. Tymczasem Military Government pozwala na otwarcie jednej tylko fabryki narzędzi rolniczych w każdym okręgu. Nie rozumiem sensu tych ograniczeń. Powinniśmy zachęcać wszystkich do produkcji, do aktywności, do rozwijania energii. Zamiast tego rozkazujemy Niemcom siedzieć z założonymi rękoma i czekać biernie na swą własną zaturę.

Zdemobilizowany adwokat otwiera okno, wpuszczając strugę ciemnego chłodu do pokoju. —

— Spójrzcie na to miasto — powiada. — Na tę ogromną, bezkształtną masę ruin. Nad tym miastem pokój nie zapalił żadnych świateł. Tu blackout trwa. Powiadamy Niemcom, że to ich własna wina, że to skutek niszczycielskiej wojny, rozpetanej przez nich. Każdy z nich jednak czuje,

że gdybyśmy ich nie krepowali i hamowali, potrafiliby dość szybko wydźwignąć się z tych gruzów. Za kilka lat, a może i wcześniej, będą za swą nędzę i rozpacz winili nie Hitlera i nie wojnę, lecz nas i naszą politykę. Kilka miesięcy temu mieliśmy możliwość rzucenia podwalin pod trwały pokój. Zaprzepaściliśmy tę okazję i teraz nie wiadomo dokąd zmierzamy. Chyba ku trzeciej wojnie światowej?

Cóż za kontrast między tym zakłopotanym pesymizmem Anglików a niemal chępliwym zadowoleniem ze siebie, bijącym od opowiadań oficerów amerykańskiego Military Government, których tyle nasluchaliśmy się w Monachium i Frankfurcie. Czyżby strach przed widokiem kraju zwyciężonego już wkradł się w serca zwycięzców? Pierwsze pytania, wątpliwości i obawy usłyszane od obu oficerów na samym wstępie naszej wędrowki po strefie angielskiej będą wciąż powracały i towarzyszyły nam w Ruhrze, w Berlinie, w Hamburgu i w Kolonii. Będziemy szukali na nie odpowiedzi w szybach kopalń, w fabrycznych halach koncernów stalowych, w biurach Military Government i Komisji Kontrolnej w Berlinie, w prywatnych mieszkaniach polityków niemieckich i w rozmowach z rolnikami.

Nad Monastyrzem panuje czarny mrok. Lampy pokoju, które rozjarzyły się już nad Londynem i Brukselą wydają się w tej chwili czymś niezmiernie odległym i nierealnym choć dopiero wczoraj chciwie wchłanialiśmy światło ich — tak dawno niewidziane. W dole pod nami gruzy Monastyru wyglądały w tej chwili jak koszmarnie powyginane kadłuby tonących okrętów w burzliwą, bezgwiezdną noc na oceanie. Kilka mdłych świateł piwnicznych migotało bezsilnym S.O.S.

* * *

Monastyr jest bardziej spustoszony niż Monachium lub Frankfurt nad Menem. 80 procent domów zniszczonych lub ciężko uszkodzonych. Wóz z trudem przeciska się przez wyboiste i pokryte gruzem ulice. Wśród gruzów ludzie obładowani tobołami, pchający taczki i wózki, naładowane dobytkiem lub resztkami dobytku. Trwają wciąż przenosiny ludzi skądś dokądś, z jednej bezdomności w bezdomność drugą, upiększoną może strzępem dawnego komfortu. Mało mężczyzn. Przeprowadzki są dziełem kobiet i dzieci. Dzieci pięcio, sześć, siedmio letnie obciążone torbami wloką się za matką, objuczoną jak wielbłąd. Mała dziewczynka wpada w popłoch na sam widok wolno sunącego auta, przytula się do spódnicy matki i wzrokiem pełnym panicznego strachu, strachu zrodzonego w jakąś piekielną noc nalotów, wodzi za oddalającym się samochodem.

Uprzypatwiamy sobie, że dokładnie trzysta lat temu, w roku 1645 tu w Monastyrze w gmachu Ratuszu i w pobliskim Osnabrück rozpoczynały się rokowania, które trzy lata później doprowadzić miały do zawarcia Pokoju Westfalskiego. Przychodzą na myśl rozdziały z historii, opisujące apokaliptyczne spustoszenie Cesarstwa po Wojnie Trzydziestoletniej. Obrazy i wnioski kreślone przez historyków ożywiają się. „Straty polityczne i zyski — pisze historyk — które Pokój Westfalski przyniósł Cesarstwu i książętom błędna, a nawet na niezaprzeczony postęp ku swobodzie religijnej znaczone przez ten pokój, który uznał zasadę równości między wyznaniem, pada cień gdy przechodzi się do rozważenia ogólnych skutków dopiero co zakończonej wojny dla Niemiec i narodu niemieckiego... Stanowią one najstraszliwszy w dziejach przykład konsekwencji wojny. Potężne bodźce, które wielkie ruchy Renesansu i Reformacji dały aspiracjom i wysiłkom współczesnego życia niemieckiego, zostały zniweczone w ciągu wieku konfliktów religijnych, który zakończył się wyczerpującą Wojną Trzydziestoletnią. Główna sprężyna życia narodowego została złamana. I zdawało się, że złamana została na zawsze”.

Monastyr przetrwał Wojnę Trzydziestoletnią. Nie przetrwał Drugiej Wojny Światowej. Promienie słońca sierpniowego igrają na zgłiszczach

tysiącletniej historii, na szerokim przestrzennym Domplatz'u, nad którym góruje wyniosły szkielet starej katedry. Bomba przecięła katedrę na pół i zostawiła ogromną, okrągłą wyrwę w sklepieniu. Przez wyrwę słońce pada na freski i rozjaśnia szereg smukłych, lekkich kolumnienek, zdobionych delikatną rzeźbą. Dwie starożytnie, masywne wieże stoją nietknięte, jak gdyby pełniąc straż nad szczątkami katedry. Przed bramą katedry z fragmentów rzeźby, złomów kamienia i strzaskanych kolumn wzniesiono na prędcie ołtarz pod gołym niebem. Wysoki ogromny krzyż — zwęglony płomieniami pożarów lecz nie spalony na popiół — rzuca cień z ołtarza na pusty plac. Od zaimprovizowanego ołtarza — i od tego krzyża, który ostał się płomieniom — wieje groźbą i gotyckim mrokiem. Zdaje się on symbolizować wiekową potęgę kościoła katolickiego i jego trwanie na ruinach bytu narodowego Niemiec. Ten krzyż zdaje się wołać do mieszczan Monastyru: Wróćcie do mnie. Jestem silniejszy od waszych snów o potędze i od waszego upadku. Biada wam, jeśli ode mnie się odwrócicie.

Jest w tym krzyżu więcej ponurej grozy niż miłosierdzia, więcej klątwy niż łaski. Jest w nim coś z godła kościoła wojującego.

Księciem kościoła wojującego jest również biskup Monastyru, hrabia Klemens August von Galen. Pałac biskupi, który niegdyś stał naprzeciwko katedry, jest teraz zrównany z ziemią. Siedzibą biskupa jest gmach muzeum monasterskiego ocalały pod bokiem katedry. Do nowej siedziby biskupa docieramy, przeskakując przez fragmenty rzeźb, główki cherubinów i chimery rozsiane po bruku szerokiego placu. Przed ciężką, ozdobną bramą muzeum wąska drewniana kładka prowadzi przez leje i kałuże. Wewnątrz pałacu głęboka cisza. Odźwierny prowadzi nas bezszelestnie przez zimne korytarze ku pokojom biskupim. Wchodzimy do wąskiego podłużnego pokoju, którego połowę zajmuje ogromna, masywna szafa. Przez chwilę wydaje się, że w pokoju nie ma nikogo; a jednak czujemy na sobie wyraźnie parę badawczo wlepionych w nas oczu. Po chwili wylania się jak gdyby z ukrycia za szafą potężna, okazała postać biskupa. Tak chyba wyglądać musieli Wielcy Mistrzowie zakonów krzyżackich i dumni, drapieżni raubritterzy kościoła. Natura jak gdyby świadomie osadziła tę głowę biskupią na ogromnym ciele, by spoglądała z góry na przyjaciół i wrogów, wiernych i niewiernych. W mięsistej, zmysłowej twarzy para małych, niebieskich oczu badawczo spozierających zza grubych okularów i wąskie, zacięte usta. Biskup wita nas gestem dostojnym, niemal monarszym, gestem po którym poznaje się członka rodu od wieków nawykłego do rozkazywania. Rodzina Galenów ma swoją kartę w dziejach Niemiec, zapisaną zgłoskami nie tyle złotymi ile dumnymi. To jeden z przodków gospodarza — Bernard von Galen, również biskup monasterski, przewodził tuż po Wojnie Trzydziestoletniej konfederacji książąt i elektorów katolickich zawiązanej przeciw Cesarzowi. Potomek jego w katedrze monasterskiej rzucał wyzwania Hitlerowi, gromił Gestapo. Gestapo mściła się, wprowadzając uczniów seminarium duchownego i zakonnice do więzień i obozów koncentracyjnych, lecz nie śmiała podnieść ręki na samego biskupa.

Co powodowało tym magnatem świeckim i dostojnikiem kościelnym gdy w latach wojny groził mękami piekielnymi panom narodowo-socjalistycznym Niemiec? Fakt że reżym uszczuplał prawa Kościoła? Niewątpliwie. Biskup Monastyru zaczął się dopominać o wolność sumienia, gdy Trzecia Rzesza zaczęła swa wszechmoc narzucać i kościołowi katolickiemu. (Przedtem chyba wolność sumienia była dla niego w najlepszym razie abstrakcją, niegodną konfliktu ze świecką władzą.) Większość kleru przyjmowała jednak potulnie ingerencję państwa totalnego w sprawy kościoła. Nie mógł jednak przyjmować jej potulnie potomek rodu von Galenów, udzielny pan Monastyru, który zawsze zresztą patrzył z góry na narodowo-socjalistyczny Lumpenproletariat, zachłystujący się władzą.

Biskup ma zresztą swoje zawody życiowe. Kościół ceni go za wiedzę,

odwagę i bystrość umysłu. Należy on do elity wyższego duchowieństwa która wywiera przemożny wpływ na politykę Watykanu. A jednak w hierarchii kościelnej zatrzymał się na szczeblu biskupa. Nieopatrzny grzech młodości pozbawił go szat kardynalskich. Mimo to, obok kardynała Faulhabera z Monachium jest on głównym politykiem kościoła katolickiego w Niemczech, choć sam twierdzi, że nie wtrąca się do spraw świeckich. Na kazalnicy nie zapomina o sprawach doczesnych. Umie o nich mówić w sposób trafiający do serc swoich słuchaczy. Umie walce swej nadać patos wzniosłości i dramatu, umie kazania swoje układać tak, by brzmiały jak wyzwania rzucone złym mocom świata.

Teraz biskup von Galen wzywa Niemców do skruchy za grzechy reżymu hitlerowskiego, lecz zarazem przybiera pozę bojownika o godność i dumę narodową Niemiec. Z kazalnicy i w wywiadach prasowych stawia zarzuty zwycięzcom, gromi ich ulomności i wzywa do okazania chrześcijańskiego miłosierdzia zwyciężonemu narodowi. Nowa aureola bohaterstwa narodowego snuje się dokoła głowy kaznodziei z Monastytu. W rozmowie z nami nie posiada się z oburzenia na prasę amerykańską i angielską, która obdarzyła go epitetami nacjonalisty i militarysty.

— Zwycięzcy traktują nas Niemców, wszystkich Niemców, jak zbrodniarzy. *Sagen Sie dem englischen Volke dass wir nicht alle Halunken sind!* I mnie traktują jak przestępcę, choć wiedzą, że stawiałem czoło Hitlerowi. Przecież to właśnie naród niemiecki był pierwszym narodem uciskanym przez narodowy socjalizm. Przecież żaden inny naród nie doznał tylu krzywd od reżymu hitlerowskiego co Niemcy.

Biskup wyraźnie modulował swoje oburzenie i wciąż zachowywał swą teatralnie wyniosłą pozę. Mówił nie jak człowiek pokrzywdzony, wytaczający swoje żale, lecz jak władca suwerenny urażony w swej dumie i obrażony w swym majestacie. Przez chwilę zdawał się wyczekiwać sprzeciwu, gotowy do odpierania oskarżeń i zarzutów. Wreszcie przerwał kłopotliwe milczenie ofiarowując nam tekst swego ostatniego kazania. Zasiadł uroczycie przy biurku by poprawić własnoręcznie błędy w maszynopisie i by wstawić przecinki i średniki do tekstu.

— Tu właśnie ostrzegłem nowe władze, by na miejsce dawnej tyranii nie stwarzały nowej — objaśnił, wręczając nam egzemplarz kazania jakby komentował notę dyplomatyczną zawierającą wypowiedzenie wojny.

Wreszcie, znów z wyniosłym spokojem, odprowadził nas do wyjścia, żegnając łaskawym i przyjaznym gestem. Zesłiśmy już na półpiętra, gdy nagle usłyszeliśmy głos biskupa szybko zbiegającego za nami po schodach. Zapomniał nas jeszcze poprosić o przysłanie egzemplarzy gazet, w których o nim napiszemy. Prośbę swą wypowiedział tonem niemal błagalnym. „Koniecznie, wszystko co o mnie napiszecie. Bardzo bym chciał przeczytać”. Księcia Kościoła opuścili teraz i duma i majestat. Przedzierzgnął się nagle w aktora, dopraszającego się natarczynie o przysłanie recenzji z przedstawienia, aktora pożeranego próżnością i ciekawością.

Mieszkańcy Monastyru mówią o von Galenie z uznaniem i dumą. Autorytet jego niezaprzeczenie przysparza wpływów politycznych kościołowi katolickiemu. Biskup czuwa nad tym, by w tym momencie, gdy wszystkie instytucje narodowe Niemiec legły w gruzach, gdy wszystkie siły społeczeństwa są doszczętnie zdemoralizowane lub sparaliżowane, gdy reżym okupacyjny nie pozwala jeszcze na odrodzenie się stronnictw, prasy i związków zawodowych, gdy wszystkie nici ciągłości dziejowej Rzeszy zostały poszarpane, by nawet w tym momencie Kościół ani na chwilę nie przerywał walki o rząd dusz w Niemczech. Seminarium duchowne na Domplatzu jest otwarte i czynne, choć w całych Niemczech wszystkie szkoły i uczelnie są jeszcze zamknięte. Oficerowie z Military Government motywują zamknięcie szkół koniecznością przeprowadzenia „czystki” wśród nauczycieli, brakiem lokali i odpowiednich podręczników.

Instytucje kościelne oczywiście nie podlegają czystce. Toteż w pierwszych miesiącach po zawieszeniu broni kościół katolicki był jedyną zorganizowaną siłą w społeczeństwie niemieckim, głoszącą swe zasady i pracującą konsekwentnie nad ich urzeczywistnieniem. Fakt ten—jak wykażą późniejsze wypadki—nie mógł pozostać bez wpływu na kształtowanie się oblicza politycznego Niemiec po-hitlerowskich.

Gdy opuszczaliśmy Monastyr cień czarnego, zwęglonego krzyża sprzed zniszczonej katedry kładł się coraz dłuższą smugą na opustoszały Domplatz.

* * *

W dzień szosa westfalska dudni przyspieszonym tętnem wędrowk ludów. We wszystkich kierunkach ciągną po niej długie kolumny wozów ciężarowych z najdziwniejszym ładunkiem ludzkim. Auto nasze raz po raz grzęźnie między kolumnami. Trzeba spokojnie i cierpliwie wyczekiwać momentu, gdy znów zza jakiejś kolumny można będzie wychylić się na środek szosy i ruszyć naprzód. Korowód Włochów nadciąga od południa i zmierza ku granicy holenderskiej czy belgijskiej. Są to jeńcy wojenni i robotnicy, którzy pracowali w Niemczech. Z Antwerpii odstawia ich morzem do Włoch. Jadą w nastroju radosnego podniecenia, rzucając innym konwojom powitania i uśmiechy. Niedawno jeszcze w obozach walczyli między sobą zacięcie, dzieląc się na zwolenników i przeciwników faszystów. W międzyczasie wszyscy ci, którzy gardłowali za Mussolinim i czekali powrotu czarnych koszul, zamilkli. Wracają do kraju wstrząśniętego klęską, rozoranego rewolucją. Wszyscy cieszą się powrotem do „nowych Włoch”. I ci, którzy przez długie lata w sercu mieli głuchą nienawiść do Duce, i ci, którzy, niegdyś chętnie nadymali piersi w defiladach młodzieży faszystowskiej a teraz szybko przyswoili sobie odruchy antyfaszystowskiej mimikry. Za nimi ciągną konwoje Jugosłowian. Serbowie i Chorwaci, mniej hałaśliwi, są raczej nostalgicznie rozpiewani i po słowiańsku, po chłopsku melancholijni. I ci wracają do ojczyzny nieznanej, napawającej obawą i nieprzemądaną tęsknotą. Tu i ówdzie nad ciężarówką w konwoju jugosłowiańskim rozpięto transparent z hasłami lub portret Tito.

Hasłem, portretem wodza, czerwoną wstęgą lub gałązką sosny udekorowana jest każda niemal ciężarówka w konwoju Rosjan. „Sława wielkiemu Stalinowi”. „Sława zwycięskiej Armii Czerwonej”. „Sława wielkiemu krajowi Sowietów”. Hasła zdradzają dokładną i niezawodną organizację. Nawet nostalgia czy radość z powrotu do domu ujęta tu została w urzędowe stereotypy. Portrety Stalina malowane niewprawną dłonią artysty amatora mają na sobie lekkie piętno anachronizmu. Rysowane są na wzór obrazów z gazet przedwojennych, które artysta zachował w pamięci — ukazują Stalina przesadnie młodego w rubaszce i w kaszkiecie, bez epoletów i gwiazd marszałkowskich. Tu i ówdzie patronuje ciężarówce portret Lenina, kreślony ołówkiem na tekturze, Lenina mniej władczo wyglądającego niż jego następcę, a bardziej za to podobnego do któregoś ze starszych, zamyślonych kołchozników wtulonego między młodzież na ciężarówce. Hasła i wykrzykniki transparentów nie bardzo licują z zamyśleniem i szarością tłumu w konwojach. Tłum ten składa się przeważnie z chłopstwa, dziwnie swojskiego, obładowanego tobołami i biedą, mrukliwego, patrzącego w zadumie przed siebie. Od czasu do czasu ciężarówka naładowana młodzieżą zabrzmiała wesołym śpiewem komsomolskim, jakby dla zaznaczenia swej odrębności od tamtej, starszej i jeszcze muzykier Rosji, z którą razem waleśała się w poniewierce obozów i razem teraz wracała do „rodiny”.

W tej zmotoryzowanej wędrowce narodów rej wodziły konwoje ciężarówek angielskich z napisami „Barley-Corn”, pędzące z szybkością 80 kilometrów na godzinę i wyprzedzające wszystkie inne kolumny. Wozy

naładowane ciemno-szarą zielenią mundurów niemieckich. To Niemcy, jeńcy wojenni, zwalniani przedterminowo w gwałtownym pośpiechu do robót rolnych, które w tym roku z braku rąk roboczych opóźniły się niepomierne. Po bokach szosy nie widać już par żołnierskich wlokących się samopas, obładowanych tornistrami i wycierających pot z czoła, których pełno było na drogach bawarskich w maju i czerwcu. Maszyna organizacji trzyma już teraz w mocnych trybach masy rozbitków armii niemieckiej. W sposób uporządkowany, środkami transportowymi zwycięskiej armii, odstawia się ch sprawnie do miasteczek i wsi rodzinnych, niemal pod same furtki rodzimych zagród. Pomięte twarze zwalnianych jeńców wciąż jeszcze zdradzają jakieś tępe oszłomienie, jakąś bezosobową apatię i szarżynę, których nie rozświetli błysk radości, gniewu lub choćby rozpacz. Rozmowa z grupami zwalnianych jeńców na postojach nuży monotonią automatycznego salutowania, krótkimi, żołnierskimi, beztreściwymi odpowiedziami recytowanymi na baczność.

Kolumny różnych narodowości przeważnie mijają się obojętnie, nie przyglądając się sobie nawzajem i nie zwracając na siebie uwagi. Wojna spędziła tutaj ogromne masy ludzi szpicrutami i batami i pomieszała ich ze sobą jakby w ogromnej kadzi. Rozsiana po niezliczonych cmentarzyskach miazga ludzka pozostaje tu na wieki. Tych co przeżyli, jakaś niewidzialna dłoń rozsortowuje i rozdziela według paszportów i dowodów tożsamości i przetrzuca z obozu do obozu ku nowym kłopotom, troskom i nadziejom. Dzieje się to wszystko z niezawodnym automatyzmem, któremu odpowiada bezwładność i bierność przetrzucanej z miejsca na miejsce masy ludzkiej. Te wielonarodowościowe tłumy nie zdążyły czy też nie potrafiły zbliżyć się do siebie i zrozumieć nawzajem przez długie lata tułaczek. Straszliwa wędrówka narodów pozostawiła po sobie ciężar ponurych wspomnień, zmęczenie i obojętność. Nie pozostawiła po sobie zbratania narodów.

* * *

Kwaterna prasowa znajduje się w niedużym westfalskim, mieście powiatowym. Wojna zaledwie zadrasnęła to miasteczko. Zabłąkana bomba wyrzuciła kilka pojedynczych domów i mały browar. Kręte uliczki drzemią w słońcu popołudnia sierpniowego wygodną drzemką, zaczęta kiedyś w wieku XVI czy XVII. Fantazyjne fasady i facjatki wąskich domów mieszczkańskich, otynkowanych na różowo i biało, ozdobione płaskorzeźbami, gotyckimi sentencjami, kuszą lekkim figlarnym a jednak niewinnym wdziękiem. Aż dziwne, że wśród straszliwej rzezi tej wojny i wśród wichur ognia i stali, które przewaliły się nad miastami Niemiec, ostała się ta sielankowa mozaika architektoniczna, wciąż jeszcze opowiadająca baśń o wesołym dobrobycie dawnych jarmarków westfalskich, sklepów, zajazdów i knajp mieszczkańskich. Rzeczka szumiąca wodospadami łagodnie przecina miasteczko, pyszniąc się wdziękiem swych nietkniętych, drobnych mostków. Przy jednym z mostków jowialny posążek kupca westfalskiego czuwa nad miasteczkiem. Kupiec, pękaty, w wysokich pończochach, w szerokim surducie i cudacznym starym kapeluszu, chytrze uśmiechnięty odlicza monetę na swej dłoni, jak gdyby lada chwila miał zstąpić z cokołu i wejść do pobliskiej Bierstübchen, by przy kufu piwa dać upust zadowoleniu z zyskownie dobitego targu w dobrodusznym, sprośnym kawale kupieckim.

Przed oknami Bierstübchen przechodnie czytają dwujęzyczne obwieszczenia burmistrza i Military Government. Zdemobilizowani „członkowie pokonanego Wehrmachtu” winni się zarejestrować w urzędzie burmistrza. Wzywa się uciekinierów, by nie zatrzymywali się w miasteczku, które i tak jest przeludnione. Herr Sebastian Müller udziela nauki języka angielskiego skróconą i skuteczną metodą. Chór śpiewaczy wzywa starych członków do porozumienia się z Zarządem w sprawie podjęcia

działalności i przyjmuje nowych członków- Military Government ogłasza, że kino miejscowe zostało otwarte. Niestety, na początek dawane będą filmy angielskie, które być może nie odpowiadają smakowi publiczności niemieckiej. W przyszłości uczyni się wszystko dla zadośćuczynienia gustom szanownej publiczności. Tymczasem prosi się widzów o skrytykowanie filmu i wypełnianie odpowiednich formularzy rozdzielanych na sali przedstawień. Kolej lokalna z H. do M. została uruchomiona. Wzywa się pasażerów by nie przeciążali pociągów i by podróżowali tylko w razie pilnej konieczności.

Mimo wszystkich oznak niezwykłych czasów, które nastaly, mimo napływu jeńców oraz przeludnienia miasta, i mimo obecności garnizonu brytyjskiego, spokój osiadłej tu ludności nie został naprawdę zaburzony. Kilka budynków zarekwirowano. W dwóch szkołach miejskich mieszczą się szpital i schronisko dla cudzoziemskich robotników przymusowych. W tej lub innej rodzinie niemieckiej wyczekuje się jeszcze powrotu męża, ojca lub syna z obozu jeńców. Grupa beznogich i bezrękich inwalidów przysparza kłopotu urzędowi pośrednictwa pracy, który nie wie co z nimi począć. A jednak miasteczko zachowało swoją żywotność. Otwierają się sklepy; i sklepikarze przeczornie chowają zapasy towaru, pokazując żołnierzom angielskim puste półki. Zapobiegliwi gospodarze pokrywają domy świeżym tynkiem i naprawiają szyby. Rażne stukanie młotków dobiega z wnętrzy domów. Wieczorami młodzież wylega na place i ulice i napęnia powietrze gwarem małomiasteczkowej wesołości, obmowy i intrygi. Na twarzach ludzkich nie znać tu śladów nocy spędzonych na panicznym nasłuchiwanu wybuchów bomb i walenia się domów. Maluje się na nich sytość, spokój i wypoczynek. Mieszkańcy miasteczka ubrani są jeszcze zamożnie a nawet zbyt kownie. Kobiety i dziewczęta paradują jeszcze w płaszczach i sukienkach kupionych niegdyś przez żołnierzy niemieckich armii okupacyjnych w Belgii i we Francji. Na niedzielę przebierają się w wesołe i patriotyczne bo czerwono-biało-czarne stroje westfalskie, przywracające miasteczku odświętny koloryt przedwojenny. Mężczyźni obnoszą znacząco swą godność majstrów i urzędników, której nawet obecność armii cudzoziemskiej nie potrafiła uszczuplić.

Miasteczka takich i miast, które ocalały i zachowały swą zasobność jest jeszcze w Niemczech wiele, bardzo wiele. Ludność tych miasteczek wewnątrznie nie pogodziła się z klęską do ostatniej niemal chwili wojny, zasobne, nadęte i tuczące się potem robotników cudzoziemskich mieszczanstwo śniło tu swe sny o potędze. Do ostatniej niemal chwili zbiórki organizacji partyjnej, szturmówek i Arbeitsfrontu odbywały się tu składnie i regularnie. Przeczucie klęski, które w wielkich miastach długo wkradalo się w serca mieszkańców, nie zdążyło podważyć pewności siebie tych miasteczek, gdy wojska angielskie i amerykańskie zjawiały się u ich wrót. Klęska spadła na nie nagle jak grom z jasnego nieba. Z samego osłupienia nikt też tu nie stawia oporu okupacji. Ale też młodzież miasteczka boczny się na obcych żołnierzach lub spogląda na nich z zaledwie utajoną wrogością. Żołnierz angielski nie imponuje jej. Skromny Tommy nie ma nic z buńczucznej postawy najeźdźcy czy zdobywcy. Nie ma zamilowania do defilady, nie wypina piersi, nie ma w sobie nic z wulgarne gozkarowego „szyku”, nic z bohaterskiego smarkaczostwa wydrylowanych marionetek, które budziło zawsze niezawodny szacunek w drobnomieszczanństwie niemieckim. Żołnierz armii zwycięskiej nie skandujący wrzaskiem rozkazów, zabawiający dobrodusznie dzieci, nie spychający przechodniów łokciami z trotuaru — to niemal przedmiot pogardy w oczach gawiedzi która do niedawna zachłystywała się histerycznym entuzjazmem na widok defilujących szturmówek. Ten nastrój drobnomieszczaniskiego miasteczka wyczuwa się narazie tylko w znaczących szczegółach i szczegółikach. Młodzież wypełnia trotuary, zmuszając żołnierzy, a nawet starszych oficerów angielskich do schodzenia na jezdnię. Sprzedawczynie sklepowe od-

mawiają żołnierzowi angielskiemu sprzedania atramentu, kopert, filmów zasłaniając się wymówką, że zapasy towarów zarezerwowane są dla stałych klientów. Mieszczuch zagadnięty o drogę odpowiada niechętnie lub mrukliwie. Wreszcie zniesienie zakazu o „non-fraternisation” przyjmowane jest ze spokojną i złośliwą ironią. Dziewczynę niemiecką przechadzającą się z żołnierzem angielskim odprowadzają karcące, gniewne spojżenia przechodniów. Można by rzec, że tu zwyciężony sam nakłada sobie regułę „nie bratania się” ze zwycięzcą.

* * *

A jednak i do małego miasteczka westfalskiego wdziera się fala zwątpień i niepokoju.

— O, gdybyśmy kilka lat temu mieli dość rozumu, by pojąć całą nieдорęczność manii wielkości w jakiej nas wychowywano! — powiada z westchnieniem 22-letni, oparty o kulę inwalida. Jasna, wychudła, marzycielska twarz mówiącego i zgaszone niebieskie oczy ujmują szczerością i smutkiem. Jest z zawodu skrzypkiem. Podczas przewrotu hitlerowskiego miał lat 10. Niemcy przedhitlerowskie były dla niego mglistym wspomnieniem dzieciństwa. Szkoła, która wpajała dzieciom magię swastyki, Hitlerjugend i konserwatorium muzyczne — oto kręgi w których zamknięte było jego dzieciństwo i wczesna młodość. Jedynymi ideałami tej młodości były wielkość Niemiec i wierność Führerowi.

— Mojemu pokoleniu — powiada — nie pozwolono na żaden wybór między ideałami. Żadna myśl z zewnątrz nigdy nie wdarła się w zamknięte kręgi naszego dzieciństwa i młodości. Jakżeż w nas, zostawionych sam na sam z narodowym socjalizmem, mogła się zrodzić wątpliwość w wielkość Führera, w szlachetność i mądrość jego zamiarów? Mówiono nam bezustannie o posłannictwie narodu. Otaczano nas symbolami wielkiego misterium i uczono śpiewać przy blasku pochodni nocnych z cudownych nut Wagnera. Jakżeż nasza wyobraźnia, nie znająca żadnych innych obrazów, mogła się przeciwstawić fałszywemu czarowi widowiska, w którym widzieliśmy siebie samych urastających na bohaterów? Miałem lat szesnaście, gdy wysłano mnie do Rzymu, bym brał udział w organizowaniu życia muzycznego młodzieży faszystowskiej. Wprowadzono nas, młodzików, do pałacu Mussoliniego. Duce sam roztoczył przed nami mapę Azji i nakreślił na niej linię, gdzie za kilka lat miały się spotkać armie Japonii, Niemiec i Włoch, by zmienić oblicze świata. Zwrócił się do nas z teatralnym gestem, mówiąc: „Pod akompaniament waszej młodej muzyki Führer i ja dokonamy tej największej rewolucji w dziejach świata”. Tak wielcy wodzowie upajali nas, szesnastolatków, mocnym winem marzenia imperialistycznego. Mówiono nam, że młodzież angielska to zdegenerowana gawiedź arystokratyczna, spędzająca próżniaczo swe lata w barach i klubach. Trzeba było przejść przez piekło Sebastopolu, trzeba było tracić nogi i ramiona na pobojuwiskach, trzeba było poznać młodzież angielską przez druty kolczaste angielskiego obozu jeńców, by wreszcie otrzeźwieć. O, gdybyśmy mieli terazniejszy nasz rozum i doświadczenie przed sześciu laty...

Młody muzyk mówił jakby do siebie samego, nie przestając uśmiechać się gorzko i ironicznie do wspomnień swego dzieciństwa. Słowa jego nie brzmiały nawet jak próba usprawiedliwienia się. Mówił niepytany, jak gdyby sam sobie zdawał — po raz niewiedzieć który — rachubę ze straszliwej omyłki.

— O, jak trudno jest rozstać się ze złudami, z którymi szło się w życie. Nie wiem czy wy, cudzoziemcy, potraficie to zrozumieć. Jak trudno jest pogodzić się z myślą, że złudy te rozwiały się. U nas, w lazarecie jeńców, wciąż śledzę walkę moich kolegów o uratowanie choćby części złudy. W przerwach między amputacjami rąk i nóg i przyprowadzaniem protez nie przestajemy spierać się o to. Jedni twierdzą, że Führer walczył o wielkość

Niemiec, że walka jego była słuszna i sprawiedliwa, że zamiary jego były wspaniałe i szlachetne, że uczynił wiele dobrego dla Niemiec i że, niestety, otoczył się gromadą karierowiczów i zwyrodniałców, którzy zaprzepaścili narodowy socjalizm wraz z Niemcami. Inni winią za wszystko organizatorów zamachu z 20 lipca, Junkrów i reakcjonistów, którym chodziło o to, by pogrążyć socjalizm niemiecki. Boleją nad tym, że Führer dobrał sobie fatalnych doradców, chwiejnych i małodusznych polityków, którzy spaczyli jego idee, lub też nie mieli dość odwagi i charakteru, by ją wprowadzać w czyn. Inni myślą, że sam Hitler nie był lepszy od swoich doradców, że źródło zła tkwiło w samym narodowym socjaliźmie, za którego grzechy i zbrodnie pokutują teraz całe Niemcy. Lazaret kipi dyskusjami politycznymi. Staramy się nawzajem przekonać siebie samych o swoich racjach i kontrracjach. Tak trudno jest pogodzić się z myślą, że wszystkie nasze ofiary były daremne, że potraciliśmy nasze nogi i ramiona dla niczego i w imię niczego. Najbardziej żal mi tych spośród nas, którzy nie ujrzeli jeszcze na własne oczy ruin swoich miast rodzinnych. Ci przed oczyma mają jeszcze obrazy naszych zwycięstw i triumfów, które wciąż podtrzymują w nich jakiegoś ducha oporu i wiarę nie wiadomo w co. Wam trudno zrozumieć jak straszliwym wstrząsem jest dla powracającego jeńca niemieckiego pierwszy widok miast niemieckich.

— Jeniec truchleje z przerażenia, gdy wkracza do miasta, które tętniło życiem, gdy je widział po raz ostatni, a które teraz jest już tylko cmentarzyskiem. Z początku ludzi się że to jedno miasto jest chyba wyjątkiem. Wędruje dalej i do każdego wielkiego miasta wchodzi z nadzieją, że roztoczy się przed nim perspektywa niezburzonych ulic, placów i domów. Każde nowe miasto w drodze powrotnej dławi tę nadzieję, aż wreszcie jeniec, osowiały i zrezygnowany, wśród ruin własnego domu szuka śladów rodziny i przyjaciół.

— Jak sobie wyobrażamy przyszłość? — Nikt z nas na pytanie to nie umie odpowiedzieć. My chyba nawet prawa nie mamy odpowiadać na nie. Kto raz w życiu popełnił tak straszną omyłkę, lub kto dał się tak haniebnie zwieść, stracił prawo decydowania o swym własnym losie. Programy i doktryny polityczne — to nie dla nas. My już nigdy nie możemy mieć zaufania do siebie samych, do naszego rozumu, do naszych sądów i ocen. Musimy uciec od polityki. Niech inni robią ją za nas, niech inni decydują o losie i przyszłości Niemiec. Niech to czynią narody demokratyczne, które zachowały zdrowy rozsądek i potrafią jeszcze odróżnić dobro od zła. Naszym jedynym ratunkiem jest bierność i posłuszeństwo. Nam, młodzieży niemieckiej, pozostało tylko prawo do bierności.

Młody muzyk przysłuchuje się uważnie słowom o obowiązku czynnej walki o nowe Niemcy, o potrzebie ideału pozytywnego, który wyparłby z umysłów młodzieży niemieckiej miazmaty narodowego socjalizmu. W oczach jego zapala się na chwilę błysk nadziei, błysk gasnący jeszcze szybciej niż się pojawia.

— „Na to nas nie stać”, powtarza uporczywie, i opierając się na kuli ciężko kuśtyka z powrotem ku lazaretowi — kulejący symbol zagubionego pokolenia.



LOT DO KRAJU

I.

Wszystko miesza się naraz i troi, wszystko staje się jakieś pomieszane, uroczyście i inne. Będę w Polsce, Polsce, za dwa, za trzy, za cztery dni. Pozwolenie Naczelnego Wodza i brytyjskie wizy na odnowionym paszporcie, wąski pasek depeszy z kraju, nadanej w Warszawie, po polsku, podejrzenie uprzejmi majorowie w korytarzach Ashley Gardens, i od rana samego telefonu, telefony, telefony. Więc nie zabierze mi pan tych dwu koców do Kraju? Panie Ksawery, do tych trzech paczuszek jeszcze jedna... Bardzo mi zależy na tym żeby dowiedzieć się u mecenasa Hojera czy mojego domu na Czerniakowskiej nie można by... Pan nie zapomni. Zawsze podziwiałem pańskiego Wielopolskiego... Czy nie myśli pan, że w ambasadzie dałoby się coś dla mnie... Albo przy konsulacie... Pan wie jak mąż pana zawsze bronił... Nie miałby pan wolnego lunch'u...? Grapichoiński chciałby pana poznać... Nie wie pan który? No ten z Giszuz, z Reginy... Telefon jest chwilami pełen oślizgłego z daleka cuchnącego rodactwa. Ale czasem jest jeszcze inaczej. Są próśby ciche i proste, wdzięczne, miłe, najprostsze, a czasem nawet nie ma ich wcale tylko życzenie i zadziwienie zazdroszczące. Więc jedź pan, jedź, do kraju? I wróci pan? No, to nam pan opowie. Żebyśmy wreszcie wiedzieli jak to tam jest. Przez czarne wygięcie telefonu przepływa tak po prostu cały Londyn polski i tylko nachylając ucha do tej czarnej słuchawki można by odczytać sejsmograf emigranckich wahań. Nie tylko telefonują. Także przychodzą. I są tacy sami. Wytworna, podstarzała pandzicha wyciąga łapsko pod nos i coś tam gmerze, że to straszne, że jedziemy, że to okropne, że ona już Słonimskiemu powiedziała, że to ohydne, ale, skoro już jedziemy, to żebym wziął ten flakonik Chanel'a. Dla Zazy. Pan nie zna Zazy? Skutki pilnej lektury „Ciemnika polskiego i Ciemnika Żołnierza” też dają nam się we znaki. Słonimskiego obarczono jakimisź zapasami gryziku czy mączki Nestl'a — tam oni w kraju tylko chlebem żyją, mnie ktoś przyniósł paczkę tytoniu fajkowego, co prawda bez adresu. Słonimski bił jednak rekord. Ktoś mu przyniósł dla brata w kraju butelkę angielskiego piwa. Widocznie wyczytał już tragiczną wiadomość, że Okocim wywieźli Kałmucy do Kazakstanu a Haberbuscha na Kamczatkę. Za karę Słonimski będzie jechał do Polski objuczony kiepskim piwem z pub'u.

Ludzie się pytają, jak człowiek się czuje przed taką jazdą, i pytanie nie jest wcale niemądre, przeciwnie, i człowieka ogarnia coś w rodzaju tremy. Lecimy samolotem, śniadanie zjemy jeszcze tutaj, lunch w Berlinie, na podwieczorek będziemy już w Polsce. Wygląda to bardzo, bardzo prosto, prozaicznie i turystycznie, ten wielki dzień, zupełnie nie tak jak się myślało. Składam uważnie mundur khaki, ze znakiem dywizyjnym i z czarnym naramiennikiem, wdziwam jakiegoś przypadkowego cywila, i zaraz przypomina się Budapeszt, jesień 39, przeświadczenie radosne „do Polski powrócimy w mundurze”. Jakieś pakowanie się, niepakowanie, jakieś sprawy drobne, głupie a potrzebne wypełniają czas. Jednocześnie człowiek jest podniecony, dokonywa się w nim jakiś proces, jakby przeszedł zastrzyki jakieś. Odlot odłożony z wtorku, odlot odłożony z czwartku, odlot odłożony znowu, — o Boże, może wcale nie będzie tego odlotu. W myśli perspektywa powrotu gdzieś w oldenburskie piaski, pomiędzy jakoweś Meppen i jakoweś Haren, gdzie Cromwelle niebohatersko ugrzęzły w błocie ogrodów, i pułk dobrze znany ugrzązał w rozłogach powojennej nudy. Brrr. Ale tymczasem telefon, jeszcze jeden, angielski i krótki. Jutro. Naprawdę jutro. Naraz wydaje się, że tak tkwić po tym haucie

nadziei będzie już nie sposób. Myślami człowiek przyzwyczał się, że nie będzie już widział, zaniebawem tych tu ludzi, a za to będzie widział tamtych, gdzieś daleko. Twarze londyńskie, widziane dziś i teraz, poczynają jakby zasnuwać się mgłą, stają się niewyraźne i nieistotne, gdy zarazem twarze faktycznie zapomniane, o których uświadamiano sobie tylko, że gdzieś są, i są ważne, wymaterializowują się w mroku. Byłoby bardzo dziwne gdyby potem nie miało się lecieć.

Auto zajeżdża punktualnie, tak jak w telefonie mówiono, jest Słonimski, po drodze zbieramy Gotlieba, jest Hendon, zielona roztocz lotniska, ktoś z ambasady, Anglicy, i cała angielska wycieczka, która jedzie do Polski. Wysoki czarny Val Gielgud, łagodna Storm Jameson, tamtem dobrotliwy grubas, nie wiem jak się nazywa, ta starsza, wyszła pani to Mrs. Chesterton, dalsi zupełnie nierozpoznani. Trochę czekania, formalności komory celnej, samolot z bagażami odlatuje pierwszy, potem my. Zataczamy jeszcze koło, wielkie, pochyłe koło nad czerwonymi, ustawionymi też w półkole domkami Hendon, potem wyżej i zielono, potem polyska morze. Jak po zastrzyku zapada senność. Zасыpiam. Budzę się kiedy jeden z pilotów, granatowy australijczyk, mówi: Haarlem, słońce świeci w stalową tarczę wód Zuiderzee, porucznik Sztumpf prowadził tam niedawno pułkową wycieczkę. Zbyszek Sztumpf, który wszystkie sanskryckie gramatyki pojadł. Zbyszek Sztumpf. Staram się wyglądać przez grubą i zapaćkaną szybę. Wiem, że w dole pod nami jest teraz tylko nudna równina brabancka, płaskość niesamowita, porozsypywana, czerwone farmy, drogi wąskie jak nitki poprzedziergiwane przez wielkie płyty zieleni, szarawej, nieładnej. Wiem. Tu gdzieś będą pograniczne, fryzyjskie wrzosowiska i gdybyśmy dobrze lecieli to gdzieś tam byłoby Niederlangen, Oberlangen, tamten świat wokół dywizji. Gdzieś, jedna z tych dróg nam na wskos, jakaś większa, to będzie szosa, nasza szosa, szosa którą po armistice przedudniły czołgi dywizji od Wilhelmshaven. Jedna z tych dróg. Musimy ją przeciąć. Tylko w jakim miejscu? Te zagruzlenia jednostajnych domów to może być równie dobrze Papenburg co Lingen, Meppen czy co tam jeszcze, — kto to może powiedzieć? A jednak, głupi, szukam wytrwale, wiem że nadaremno, prostokątu długich budynków po jednej stronie szosy, z placem zielonym w środku, z kanałem niedokopanym po drugiej stronie. Co się tam teraz dzieje? Stuardy muszą stać, jak stały, pod ścianą, może rotmistrz Salwa prowadzi ostre strzelanie na poligonie może hałas — to Szymborski kapral z cenzusem przyjechał z pocztą, ksiądz kapelan wolnym krokiem podąża w kierunku obiadu, Jaś Kordyl posuwa się kaczkowatym chodem, nie, co ja mówię, przecież jest na urlopie. Tak to tam musi być wszystko, i gdzieś tak, sam nie wiedząc jak przelatuje nad kawałkiem czegoś, co już nigdy więcej nie będzie moim życiem.

Słońce bije właśnie w same szyby, nadchmurne, nieziemskie słońce, wszyscy się pospali w Dougłasie, i sam wśród tych śpiących zagubiam się w owej niedawnej przeszłości. Powróciwszy tam u schyłku wojny, tkwiąc przez miesiące powojennego czekania, przeżywałem dzień po dniu pułkowy z jakimś tajonym przekonaniem, że należy się bardzo temu przyjrzeć, głęboko to w sobie zapamiętać, bo już niebawem tego więcej nie będzie, i bo kiedyś trzeba będzie o tym mówić, pamiętać i pisać. Pamiętam różne pułkowe picia, pieśni jakie się śpiewało, kawały odstawiane, pamiętam uroczystości i święta, pamiętam, jak stałem sam, w takim tłumie, gdzieś w drzwiach niskich pokoi i patrzałem, bardzo patrzałem, aby to właśnie zapamiętać. Trzeba. Polskie wysiłki wojenne mają to do siebie, że nikt ich nie umie wziąć w dłoń, nie umie lepić z nich narodowego bytu, lepszego jakiegoś jutra, że z tyłu śmierci żadnych się nie ukrzesza podwalin, ale potem, o potem, potem kiedyś rozromantycznia się kokarda legionów, roztacza się wszystkimi blaskami legendy, i będzie z nich szło ciepło dla nas starych i światło dla tych młodych, najmłodszych, od ziemi dzisiaj edwo odrastających, którzy po nas przyjdą, i będą pewno aż złoszcząco

tacy sami jak byliśmy my, i ci przed nami, i ci jeszcze wcześniej i jeszcze wcześniej przed nami. A my, piszący, cośmy nie umieli odwrócić biegu narodowych spraw, cośmy byli za słabi przeciwko wszystkim, za wąтли przeciw tragicznemu nurtowi, jakim płynie nasza historia, będziemy kiedyś zbierali i przekazywali tamto wszystko, i pęd Cromwella po szosie abbe-wilskiej, i rozważanie kaprała Flisa, i noce zimne pod Bredą i piosenkę śpiewaną na „dziesiątkować”.

* * *

Wszystko się budzi, ziewa, przeciera oczy, kiedy samolot zniża się nad Berlinem, Anglicy pragną sprawdzić czy istotnie Berlin odebrał należytą porcję klapsów, look, look, wołają zachwyceni, rezultaty operacji RAF-u całkowicie ich zadawalniają. Pełni poczucia dokonanego dzieła idą, gdy samolot stanął, zielonym trawnikiem do messy oficerskiej — cup of tea and some sandwiches dobrze zrobi. Usługują Niemki, duże, grube, mięsne kariatydy. Są potulne i układne. Wśród nas jest rabin o wybitnie semickim wyglądzie. Niemki patrzą się na niego długo, milcząco i nieprzyjemnie. Spojrzenie zwierząt dzikich w zoo.

Jest odlot i podniecenie. Można było spać nad Haarlem, nad Hanowerem i nad Meppen, teraz nie można spać. Mapa rozwija się pod nami, jakieś miasta, złóte wstęgi dróg szerokich bardzo — autostrady pewno — ciemne plamy lasów świerkowych wokoło Berlina, jasne roztocza jezior pocięte białymi żaglami, znowu miasta, znowu środkowa Europa odmienia się bardzo powoli, za powoli, zanadto powoli, a człowiek szuka na mapie pod nim płynącej jakichś znaków znajomych Polski. Gdzieś przegapiamy Odrę, — zawsze byłaby wskazówką, potem pewno omijamy większe miasta, a może też większe miasta niktą z tej wysokości, i wreszcie nie wie się nic. Zachodnia i środkowa Polska od dawna nie są krajem zagęszczonych wsi, anarchicznych strzeszych czap nad błękitnie wymalowanymi chatami, drogi poprowadzone są proste, obsadzone kulkami drzew — wszystko to widać z samolotu i wszystko to może być wszystkim. Z kajuty pilota przychodzi strzępek papieru. Dwa słowa. Over Poland. Pomorze? Poznańskie? Kongresówka? Gostyń? Koło? Łęczycza? Nic nie wiemy. Polska.

Kłęcząc, nachylony, człowiek daremnie stara się coś odczytać z tego kraju pod nim. Gdzieś z boku napotyka na nierozumiejące, zdziwione oczy Anglików, — otulili się w pledy i drzemią dalej, a także rozumiejący wszystko to uśmiech Val Gielguda. Jego pradziad był z Polski, generał w listopadowym. Może i w jego oczach jest jakiś połysk wilgotny. Potężny jest odzew krwi. Tak, pradziad. Człowiek nachyla się znowu nad tą Polską ścielącą się pod nami, nad tymi drogami, szosami, domami, polami, posiekanymi w zagony nad tym właśnie, co jest materialnie tą Polską, Polską o której się tyle mówiło, pisało, gadało, myślało, za którą było TO WSZYSTKO przez TE WSZYSTKIE lata; więc tak, to jest to, Polska. Jakieś prawie zdziwienie. Polska. Oto właśnie, to pod nami, co zmienia się niby wciąż będąc płatem ziemi na tym globie wirującym w wszechświatach, tak, właśnie to, to Polska. Powoli ogłuszenie przemija. Co to może być ten węzeł kolejowy? Miasto? Miasto takie sobie, ale węzeł zdaje się duży? Kutno? Już Kutno? Czyżby. Val Gielgud ma mapę — to angielskie — ale niedokładną. Jakieś rzeki. O ta. Niewielka, wije się przyciszenie przez łągi jakieś, rozlewa płasko. Bzura. Bzura, Bzura. Rok 1939. Smutna rzeka Bzura. I naraz coś poczyna wiązać tę mapę żywą pod nami z włóknami naszego serca. Samolot skręca, i oto w samolot wszystkimi oknami lewego boku napływa olbrzymie, osłepiające słońce, słońce popołudnia, słońce ostatnich letnich dni. Twarze pieką, oczy się mrużą, aluminiowe przęsła lśnią srebrnie, czujemy ciepłe plamy słońca na zewnętrznej stronie dłoni, na pledach, na kolanach, na policzkach. Jednocześnie za oknem łyśka blaskiem szeroki błam, coś

świeci się leżąc na ziemi, jest bliżej, jest rzeka, samolot splywa ku niej, naraz wiemy wszystko:

— Wisła!

Tak to jest naprawdę Wisła, i jakoś głupio się cieszę, że taka wielka, potężna, że tak się paliła słońcem, że tak wszyscy od razu poznali. Wisła, Wisła! Teraz mamy słońce z innej strony, a koryto pod nami, obniżyliśmy się jeszcze i naraz widzimy, poznajemy białe piach urwisk brzegowych, płowe plamy mielizn przeświecające przez wodę, jakieś wikliny marne, jakieś ścieżki wśród nich wychodzone, swojskie naraz. Potem samolot podrywa się, rzeka znika, pod podwozie zaczynają podplływać domy, wielkie sześciany i bloki, poszczerbione, zamarłe. Teraz widzimy. Bloki szczerzące swe oczodoły bezszybne słońcu, albo wprost płowo-różowa pustynia, sfalowana, ugięta, czasem przekreślona jakimś niezawalonym zrębem, czasem przekreślona czymś co było ulicą, znowu jakieś bloki, tylko że szare tym razem, znowu jakieś różowawo-płowe wzgórki, i w tym wszystkim jakaś martwota senna, jakieś znieruchomienie księżycowych krajobrazów. Znowu wszystko znika spod podwozia i zamienia się na zieleni, skąpą, biedną zieleni podmiejską, inną od angielskich soczystości. Samolot splywa w dół, w dół, zakolebanie, jedno, drugie, stuk w tyle, toczymy się, widać jak gnę się od spodu owa trawa lotniska, potem wszystko zwalnia, staje, stanęło. Potem są tylko drzwiczki kabiny, wgięte w kadłub. Nasze oczy są na tych drzwiczkach zamkniętych, nie chcących się otworzyć przez potwornie długie sekundy, aż wreszcie w smary i wydechy wdziera się ostrą strugą zimne, świeże powietrze, i blask zachodzącego dnia, i jakieś twarze, a wśród nich, najpierwsza, twarz uwieńczona zieloną czapką z orłem. I czapka jest stara najwidoczniej, i orzełek takiż, i twarz człowieka porysowana bruzdami i wszystko to jest stareńkie takie, biedne, swoje i obwieszca z naiwnym namaszczeniem:

Kontrola celna!

KAROL ESTREICHER

ZMIANY

V.

Z fabryk, z urzędów, z biur i sklepów wyszli ludzie jak codziennie ale ożywieni i zadowoleni bo był to wiosenny dzień, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi odbijając się w Wiśle. Alejami płynął tłum który cieszył się swymi nowymi strojami.

Janka sama nie wiedziała jak to się stało że znalazła się w parku i nie wiedziała dlaczego siadła na ławce patrząc na ludzi spacerujących. Zdjęła kapelusz i wstrząsnęła głową odrzucając włosy zburzone przez wiatr, lub może odrzucając precz myśli jakie natrętnie ją dręczyły. „Czego ja właściwie chcę” — myślała i nie umiała znaleźć odpowiedzi.

Tymczasem jakaś młoda para wiodąc ze sobą rowery, oparła je z boku i siadła aby odpocząć. On był mężczyzną krępym, rudym i piegowatym z pogodną dziecinną twarzą, ona dziewczyna nie starsza od Janki, z zadartym nosem i błyszczącymi oczami. Widocznie wybierali się na wycieczkę, bo z tyłu rowerów przytroczone mieli tłumoki, a na sobie ubrania sportowe.

Janka przypomniała sobie że to była sobota i że widocznie owo młode małżeństwo (bo natychmiast dojrzała obrączki) wybierało się na dwudniową wycieczkę. Młoda kobieta przytuliła się do męża. Byli ludźmi średniej sfery, rzemieślnikami lub może zamożniejszymi robotnikami, ludźmi na progu życia, szczęśliwymi ze swego małżeństwa.

— Lepiej napompuję koła teraz — stwierdził on.
— Posiedź chwilę jeszcze — rzekła żona.
— A kto za mnie zrobi? — powiedział z determinacją ludzi przyzwyczajonych do obsługiwanie samych siebie.

Zaczął się nadymanie opon, podciąganie siodełek, poprawianie przytroczonych bagaży. Byli pochłonięci zajęciami, nie zwracali uwagi na Jankę, śmieli się do siebie, cieszyli się że mają własne rowery o których marzyli. Ręce ich były spracowane i grube, mowa prosta a maniere zwyczajne, ale promieniowało od nich szczęście pożyicia, zakochanie wzajemne, ufność i uczciwość. W spojrzeniu mężczyzny dojrzała Janka troskliwość, w jego zachowaniu się uprzejmość, daleką od sztucznej szarmanterii i przesadnej grzeczności, którą znała u męża lub jego kolegów. Odchodząc kobieta skinęła Jance głową, nie bez tego zadowolenia i dumy którą młoda a zakochana mężatka zawsze okazuje.

Ich odejście było dla Janki ulgą. Szczęście jakie dojrzała przypadkowo podnieciło w niej żal że nie jest jej udziałem. Patrzyła na dwoje ludzi nie jej środowiska i nie jej stanu i nagle spostrzegła własną samotność i pustkę.

Nie rozumiała, że szczęście opiera się na porozumieniu, a porozumienie na obopólnych ustępstwach. Scena której była świadkiem przed chwilą nie stała się dla niej wzorem, z którego wyciągnąć mogłaby wnioski, ale faktem który ją podniecił i zadrażnił. I jak zawsze czyniła w takich wypadkach, jeszcze chłodniejszy wyraz przybrała jej twarz, jeszcze sztuczniejszy był jej uśmiech gdy odkloniła się młodej kobiecie. Ta pomyślała:

— Jakaś niecierpliwa pani. Pewnie jej chłopiec spóźnił się na randkę.

Janka posiedziała chwilę, wstała, doszła do stawu, spojrzała na rowisko karpi, na dzieci karmiące je bułkami i ogarnął ją nagły wstręt, bo przypomniała sobie że gdzieś czytała iż Rzymianie ciałami niewolników karmili te ryby.

Więc uciekła stamtąd. Skręciła w boczną aleję gdzie mało było osób i szła wolno, z opuszczoną głową, myśląc ciągle o owej szczęśliwej parze małżeńskiej, która rzuciła miasto, wybierała się na wycieczkę, widziała przyszłość przed sobą. I znowu wróciła myślą do siebie, do swego położenia, do swoich pragnień i teraz zrozumiała, że pragnieniem jej jest kochać, być kochaną jest zakochać się, że chciałaby mieć swojego chłopca.

I uznała, że myśli jej stają się wulgarne, że zamiast od życia swego wymagać poziomu uczuć i panowania nad nimi, sprowadza je do trywialnych sentymentów pensjonarki.

Ale w zakochaniu się, w miłości owej młodej pary rowerzystów Janka dojrzała jeszcze jeden element, którego nie umiała określić, a który czuła że jest istotą miłości. Posiadanie wzajemne, duma z oddania się, chęć zawiadomienia innych że jest się cudzą, że należy się do kochanego mężczyzny, grały w pragnieniach Janki tak samo silnie jak w każdym normalnym sercu kobiecym.

Spotkała troje dzieci. Umorusana, bosa, blada dziewczynka niosła na rękach roczne dziecko, a z boku z patykiem w ręku postępował brat.

— Proszę pani która godzina?

Spojrzeła na zegarek. Dochodziła siódma. Czas wracać do domu.

Do domu? Gdzież pójdzie? Przecie domu nie ma, nie ma dla kogo się spieszyć. Nawet te nędzne dzieci z przedmieścia wracają do domu, może biednego ale ich własnego domu, a tymczasem ona nie ma nikogo, nikogo.

Dzieci. Tak dzieci, dziecko rozwiąże problem jej życia. Macierzyństwo dałoby jej uczucie, szczęście, wyłączność, dałoby jej pieczyoty i wyżycie, zapelniloby jej puste serce. Tak, ale macierzyństwo uzależnione było od tego człowieka — a myśl o nim napawała Jankę wstrętem. Nie, nie, nigdy...

Więc zdradzi Władzia, znajdzie sobie kochanka, weźmie go sobie zimno, po męsku, jak jej to radziła Zatowska.

Ta myśl znowu napelniła ją obrzydzeniem, znowu uważała że staje się cyniczna i wulgarna, bo przecie matką można być jedynie kochając, a nie szukając namiętności.

Słońce padało poprzez liście znacząc długie cienie na pałacu, na wodach stawu, na ludziach wolno opuszczających park, gdy Janka siedziała na ławce nie wiedząc co czynić. Nie było jej wcale żal męża, po prostu nie było jej żal dlatego, że nie myślała o nim. Żal jej było siebie samej.

Nagle poczuła łzy w oczach, gorące, słone i w tej chwili siłą woli wstrzymała się od płaczu, bo uważała że to histerie z jej strony. Równocześnie wyjęła lusterko, puderniczkę, poprawiła włosy i postanowiła zjeść cokolwiek w pobliskiej mleczarni. Bo nie bez poczucia realizmu zauważyła że głód usposabia zawsze pesymistycznie, a ona nic jeszcze nie jadła od rana.

Tymczasem wyszedłszy od księdza Matusika, Staś swe pierwsze kroki skierował do domu, myśląc że zobaczy się z ciotką i opowie to co się stało. Zegary były szóstą, ale młody człowiek nie widział i nie słyszał wokół siebie niczego tak wzbudzony był wypadkami. Jak zawsze ludzie młodzi do wypadków które wokół niego się rozgrywały, przywiązywał zbyt dużą wagę, charakterystyczną dla świętego egoizmu dwudziestu lat życia.

Słuszność była po jego stronie. Absolutnie po jego stronie. Tak samo wszystkie prawa moralne. A w polityce i w życiu społecznym — wierzył — rządzą prawa moralne i idee, zawsze wartości poza materialne. Więc o te prawa moralne trzeba walczyć, tak jak to wskazuje sumienie.

Na rogu ulicy afisz żydowski i polski zwrócił jego uwagę. Jakiś komitet żydowski zwoływał wiec do wielkiej sali kina w celu obrony przed antysemityzmem. Stanisław był niedawno na takim zebraniu, gdzie poszedł z wewnętrznej potrzeby, aby zaczerpnąć argumentów do swoich dyskusji. I zamiast utwierdzić się w swych myślach wyszedł stamtąd podniecony, zirytowany, zły na żydowskich mówców, którzy namiętnie przemawiali nie przeciw antysemityzmowi ale przeciw wszystkim Polakom. Dojrzał u nich nacjonalizm, zrozumiał z tego co mówili że nie boją się oni tyle antysemityzmu, ile wynarodowienia żydów, że wzywają ich aby na wzrastające poczucie odrębności Polaków odpowiedzili tymi samymi uczuciami. Nikt nie zachęcał do zgody czy do porozumienia — wszyscy wzywali do walki, zaklinali do wzajemnej nienawiści. Przypomniał sobie że wyszedł stamtąd zły na żydów, zły na siebie, obrażony na brak poczucia rzeczywistości u tych przewodców żydowskich, którzy wzywali do karnego skupienia się w żydowskim stronnictwie narodowym, do odcięcia się od Polaków, którzy ich nie chcą.

Gdzie ruszył się problem żydowsko-polski narzucał się z siłą jego myśлом, drogę tamował postępowi i moralności jaką chciał widzieć. I dzisiaj znowu zetknął się z tym problemem który drażnił go i bolał. Dziś znowu potknął się na nim — a właściwie wywrócił — wywołał skandal.

Nie — antysemitą nie był i nie będzie nigdy! Nie zmusi go ani namiętny ksiądz Matusik, ani ciotka ani koledzy aby ukorzył się za swe przekonania. Nie zmuszą go do tego żydzi sami, choćby popełniali pełno nietaktów jak te które słyszał na oym zebraniu.

I nagle po raz pierwszy doszedł do przekonania, które sam sformułował niezależnie od wszystkiego co wiedział i słyszał na ten temat, że w obu wypadkach ma do czynienia z nacjonalizmem, i że prawa nacjonalizmów są te same, oparte na rozbudzaniu niechęci, pogardy, nienawiści — wszystko jedno czy ma się do czynienia z narodem polskim, ukraińskim czy żydowskim.

Odpowiedzią na to wszystko — myślą — jest taki układ sił i stosunków narodowych, społecznych i gospodarczych w których nacjonalizm nie przychodzi do głosu, nie może przyjść do głosu. Taki rząd który nie jest

rządem narodowym, taki ustrój który daje narodom równość a walkę między nimi wyklucza, energię mas w innym kierunku zwracając. Sam nie wiedział kiedy zaczął powtarzać jakieś argumenty od Grincyka zasłyszane, kiedy od własnych wniosków przeszedł do tych które jeszcze przed paru godzinami zwalczał. I spostrzegł że właściwie najbliższy jest mu komunizm z hasłami swej bezwzględnej równości materialnej, opieką nad najbiedniejszymi, wyniesieniem proletariuszy i nędznych do rządu możnych i rządzących, zniesieniem kast...

Cofnął się przed tymi myślami. Zbyt głęboko tkwił w środowisku, które go wydało, zbyt wiele łączyło go z nim by mógł się zdecydować na śmiało przekreślenie tego co uważał za przesady. Zresztą ani przez chwilę nie mógł się wyzbyć poglądu religijnego u podstaw swego myślenia, wiary którą Kościół reprezentował i z którym przecie żyć chciał w zgodzie.

Przede wszystkim musiał się wygadać. Chciał komuś opowiedzieć wszystko co się stało i rozważyć następstwa swego kroku. Chciał walczyć i był przekonany że tę walkę wygra, czuł zapał dla niej i siłę swej argumentacji. Szedł do domu, ale przypomniał sobie że ciotki tam nie będzie, bo miała być wieczorem u hrabiego Ankwicza więc skręcił na Uniwersytet. Nagle przypomniał sobie że przecie tego dnia miał zajście z korporantami i że do wszystkich zmartwień przybyło jeszcze i to.

Studium ekonomiczne było puste. Tylko Grincyk siedział tam, czytał i notował uwagi o reformie walutowej w Niemczech.

Mieszkał kątem u religijnych żydów, którzy przez całą sobotę nie pozwolili mu pracować ani czytać nawet, aż dopiero po zapadnięciu zmroku. Od piątku wieczorem do soboty wieczorem „sublokator” musiał się zastawiać do obrządku swoich gospodarzy. Więc koniec tygodnia spędzał w pracowni uniwersyteckiej, do której otrzymał klucz i tu w szufladzie chował owe notatki przeznaczone do wyzyskania w komunistycznej prasie polskiej i żydowskiej którą obficie zasilał. Dla bezpieczeństwa nawet po polsku pisał hebrajskim alfabetem. I teraz właśnie kończył artykuł o wzmagającym się rewolucyjno-antynarodowym ruchu mas niemieckich, w związku z kapitalistyczną reformą walutową.

— Czemuż o tej porze przychodzicie? — zapytał Grincyk Stanisława.

— Chciałem zobaczyć czy nie ma kogoś z przyjaciół?

— Tylko ja pracuję w soboty.

— To was wyciągnę na kolację.

— Już zjadłem swoją bułkę z rybą...

Nie potrzebował tego mówić. W pokoju unosił się mdły zapach śledzia i cebuli, które Grincyk jadł zazwyczaj na podwórzu uniwersyteckim, tego dnia jednak był pewny, że nikt już nie przyjdzie.

Inna rzecz że możliwość zjedzenia dobrej kolacji i dyskusji podczas niej była zbyt nęcąca dla Grincyka, aby nie skorzystał z zaproszenia. Te dwie rzeczy lubił naprawdę: jeść i dyskutować, bo obu był nienasycony, obu wiecznie głodny. Nie odmówił. Wyszli.

Pojechali tramwajem do Łazienek, weszli do parku. Gdy szli boczną aleją spotkali troje dzieci. Znowu spytała dziewczynka:

— Proszę Pana czy jest bardzo późno?

— Późno — powiedział Staś — już po siódmej, idźcie do domu.

Mała bała się, że matka ją zbije gdy się spóźni, więc zawołała na brata:

— Józek chodź prędeż, bo mama cię w domu nabije. Chodźże no...

— Gdzie mieszkacie? — spytał Grincyk.

— Na Pradze, za dworcem wileńskim...

— Masz tu na tramwaj — powiedział Staś — a jak się nazywasz? — dodał aby zatrzeć wrażenie jałmużny.

— Wisia Gaślikówna — i uciekła przestraszona myśląc że może jej ten pan odbierze dwa złote, pewnie dane przez pomyłkę. I darła się na brata przeraźliwie...

— Józek, Józek, chodźżeno...

Nie byłby Grincyk Grincykiem gdyby tej okazji nie wykorzystał da rozwinięcia teorii jak państwo kapitalistyczne nie dba o dziecko, jak dopuszcza do jego nędzy, jak uczy go żebractwa, wpycha w otchłań poniewierki.

Stanisław nie znajdował argumentów. Tak istotnie — myślał — wespół słuchając wywodów Grincyka, nędza mas nie da się zaprzeczyć i nie widać prób jej usunięcia. Ludność wzrasta, a nie wzrasta majątek narodowy.

Ale naprawdę inne trapiły go myśli. Nie chciał dyskusji zasadniczej z Grincykiem, natomiast pragnął mu opowiedzieć to co stało się po południu i zawiadomić go że ustąpił z prezesury Przyszłość i że wystąpi ze związku. Chciał usłyszeć pochwałę swego postępowania, niechby nawet z ust Grincyka.

Przeszli w głąb parku, gdy Staś skończył się wywnętrzać. Grincyk milczał, zastanawiając się głęboko nad tym co mówił mu towarzysz. Wyczuł u Stanisława zadowolenie z prostolinijnego i uczciwego stanowiska jakie zajął i teraz postanowił mu dokuczyć. Taką już miał naturę, pełną przekory jeśli nie negacji, że musiał zaprzeczyć, poprawić, lepiej wiedzieć.

Lecz zanim zajmie stanowisko wobec sporu wewnątrz organizacji młodzieży katolickiej — myślał Grincyk — trzeba przedtem zjeść, skoro został na jedzenie zaproszony. Więc wydymając mięsiste wargi, zadowolony że nareszcie pyta go ktoś o zdanie powiedział:

— Powiem wam moją radę, ale chodźmy przedtem zjeść do mleczarni.

Był jeden stolik wolny. Ostatni, bo w mleczarni pod drzewami na kwaśne mleko, ziemniaki i wiosenne sałaty zeszło się wielu amatorów. Gdy siedli Grincyk zażądał spisu potraw i łakomie wybierał.

Rozglądali się. Rozglądał się Grincyk czy go widzą tutaj, bo jako towarzysz partyjny nieujawniony miał obowiązek zawsze obserwować otoczenie. Rozglądał się Staś, bo nagle uczuł niechęć do Grincyka, którego szczerze chciał lubić, dla którego czuł przyjaźń, a od którego zawsze wzamian za swe uczucia otrzymywał odpłatę niesprawiedliwą i przykrą. I pożałował że zwierzył mu swoje kłopoty.

Z boku siedziało towarzystwo warszawskie. Kobiety w nowych sukniach, oficerowie, urzędnicy, kłupcy, literaci. Tłum barwny i zadowolony pogodą wieczoru. Przy sąsiednim stoliku, w otoczeniu wielbicieli, królowała wystrojona Rega Schönfeldówna w granatowym kostiumie, w kapeluszu z wielkim rondem spod którego lśniły jej czarne oczy. Stanisław uklonił się.

Gdy jedli kolację z apetytem młodzieńcy kelner przyprowadził Jankę:

— Tylko tym miejscem mogę służyć, proszę pani. Panowie pozwolą?...

Janka była trochę zażenowana tym że weszła sama, że spytała o miejsce. Ale było za późno cofać się więc postanowiła zjeść i uciec stąd czym prędzej.

Nie patrząc na towarzyszy stołu usiadła na drugim końcu i ta decyzja uspokoiła ją, zwłaszcza że spostrzegła iż „owi chłopcy” nie zwracają na nią uwagi. Uspokoila się także gdy w tłumie gości nie dojrzała nikogo znajomego, nie musiała się kłaniać i znowu mogła popaść w samotność, która wydawała się jej jedynym lekarstwem. W rzeczywistości tak przed sobą tłumaczyła swą nieśmiałość.

Ale nie byłaby kobietą gdyby jedząc i pijąc potem herbatę nie rozglądała się wokół, nie spostrzegła fasonu nowych kapeluszy, różnic w kroju sukien, modnych drobniaków które sezon wiosenny przyniósł. Po chwili rzuciła okiem na obu dyskutujących studentów.

Grincyk tłumaczył Stasiowi:

— Wcale nie uczyniliście dobrze. To was poniosła szlachecka fantazja. Jak klecha głupstwa gadał i wysługiwał się kapitalizmowi nie pora na dyskusję. Jeśli coś organizuje (tu pomyślał że jeszcze dziś musi pobiec do redakcji Walki Proletariatu) waszym zadaniem było opierać się ale nie zrywać. A może kto wie wcale się nie opierać. Przyjąć taktykę elastyczną po to by obserwować, podpatrzeć, a potem móc wysterować.

Mogliście, i to było waszym obowiązkiem, wszystko przejrzeć a tym czasem zerwaliście kontakt. Nie macie zmysłu walki a tylko burżuazyjny ideo-doktrynerski stosunek do spraw. Uprawiacie idealizm który niczego nie zwalczy a umacnia przeciwników. Z punktu widzenia taktyki zaślezyliście na nagane, z punktu widzenia osobistego przegraliście. Dopomogliście reakcyjnym siłom w waszej organizacji do podniesienia głowy, do zwycięstwa. Sami widzicie...

I widząc że Stanisław coraz bardziej się martwi podniecił się i jeszcze namiętniej zaczął tłumaczyć swój punkt widzenia...

— Jest tylko jedna moralność, proletariatu; jest tylko jedna prawda, marksizmu. To wszystko co z nimi jest zgodne, jest uzasadnione i może być użyte. Lenin toczył walkę z Kautskym nie tylko dlatego że Kautsky był socjalszowinistą, ale przede wszystkim dlatego że nie rozumiał on rewolucyjnej taktyki, która strzegła przed marazmem klasę robotniczą. I na odwrót sam Lenin dał dowód umiejętnej taktyki, gdy zastosował wolność obrotu towarowego po to aby przez ujawnienie tym łatwiej móc zlikwidować resztki kapitalizmu. Lecz jeśli tak czynił to świadomie. Taktyki nigdy nie należy się lękać...

I od sporu i zajścia u ks. Matusika przeszedł Grincyk nie bardzo w związku ze sprawą do ulubionych swych argumentów i terminów ekonomicznych, w których obracał się naprawdę swobodnie.

A wreszcie raz jeszcze wrócił do zajścia u księdza. Przyszło mu na myśl że posiadanie w organizacji młodzieży katolickiej swojego człowieka byłoby niezwykle ważnym dla niego, że podniosłoby jego znaczenie w partii a na pewno zyskałoby mu uznanie towarzysza Zdzicha.

— Ja bym na waszym miejscu wszystko naprawił.

— Jak to? — spytał zdziwiony Stanisław.

— Po prostu pogodziłbym się z klechą, a jeśli by nawet tego potrzeba to go przeprosił. Skoro tego nie zrobicie to wzmocnicie tylko reakjonistów. Pieczarski który jest typowym okazem jak kapitalizm degeneruje moralnie proletariatu wiejski stanie na czele organizacji. Wy przez swą burżuazyjną szlachetność dajecie przynajmniej rękojmię że i tam przenikną pewne wpływy i poglądy. A jeśli nie, to w każdym razie zrobicie u nich frakcję. Wielkopańskie gesty nie prowadzą do niczego. Zażądajcie walnego zebrania Przyszłości, wytoczcie swoją sprawę...

Stanisław nie dyskutował. Spojrzał na Grincyka jakby nie wierząc temu co mówił.

— Serio mówię, powinniście się pogodzić.

Stanisław poczuł niesmak po słowach Grincyka, poczuł jakieś obrzydzenie lecz nie wiedział jak zareagować. Zaczął go Grincyk nudzić i postanowił mu to pokazać. Udał że go zaciekawiło otoczenie, co zresztą było częściowo prawdą. Spojrzał na Regę Schönfeldówną i uśmiechnął się do niej.

Janka nie wiele rozumiała z dyskusji jaka toczyła się między obu studentami. Ale dochodziły do niej jakieś terminy ekonomiczne, widziała zapał Grincyka, wrócił do niej świat zapomniany, inny niż ten w który wprowadził ją mąż, świat teorii społecznych i sporów naukowych i nagle uczuła zainteresowanie dla obu młodzieńców. Jakżeby pragnęła móc razem z nimi dyskutować, przysłuchiwać się, dzielić ich zapał, uczyć się jak oni...

Dojrzała spojrzenie Stasia rzucone w kierunku Regi. Tę obejrzała już wcześniej. Teraz spojrzała na młodego człowieka.

Był przystojny, ale był za młody. Miał w sobie jakąś nieśmiałość, bo spuścił wzrok przed wzrokiem Janki. Niesłusznie — pomyślała — bo przecież wcale go nie kokietuje.

Nie zamierzała tego czynić. Spozrzegła jednak że zwróciła ich uwagę na siebie, że przerwała ich rozmowę która tak bardzo się jej podobała. Uczuła dla obu chłopców sympatię, chęć poznania się z nimi, towarzyszenia

im. Gdyby byli się do niej odezwali w tej chwili, zapewne nie odmówiłaby im towarzystwa.

Ale takie odruchy trwają zazwyczaj krótko i przerwane bywają wzajemną nieśmiałością.

Zapał zmrok, ludzie wstawali, Janka zapłaciła i wyszła. Nie mogła się tylko wstrzymać by nie uśmiechnąć się do obu towarzyszy swej kolacji, uśmiechem którego była pewna. Odebrała wzamian za to niezgrabny ukłon Grincyka i dojrzała szerokie szczere spojrzenie Stasia — jak nie bez zadowolenia zauważyła — szersze niż to które przed chwilą rzucił pięknej Redze.

I jak to często bywa z ludźmi którzy są przeznaczeni dla siebie, rozeszli się wzajemnie się nie poznawszy.

VI.

Tego wieczoru w salonie hrabiego Ankwicza grono przyjaciół z najlepszych sfer Warszawy, toczyło rozmowę na tematy społeczne i polityczne następnie zeszło na plotki o ludziach i rzeczach a potem na wspomnienia młodości. Kolacja była wytworna bo pan domu dbał o poziom stołu i win. Czego nauczył się w podróżach zagranicznych i u petersburskiego dworu to stosował i teraz może z tym większą dokładnością że życie zalane było wokół chamstwem smaku i obyczajów. A hrabia Ankwicz nie znosił chamstwa choć demokratą był szczerem, czego dawał ciągłe dowody pracując społecznie i politycznie.

Przyjaciele Ankwicza, tak jak on, wszyscy pochodzili stamtąd... z Ukrainy. Na obszernych ziemiach kraju żyli ich pradziadowie i strzegli kiedyś w rycerskim zajęciu krańców Rzeczypospolitej, zwalczając pohańców i kolonizując kraj. Oni czerń kozacką trzymali w ryzach, oni gdy odpaść ziemiom ukraińskim przyszło od Korony o Polsce nie zapomnieli i własność swą powiększali w okresie napoleońskich wojen. Stryjeczny dziad Ankwicza zasłużony był wielce dla sztuki i kultury polskiej bo przeciw w jego córce kochał się Mickiewicz, a że panna wydać się nie chciała za poetę trudno było ją winić. Za to w rodzinie Ankwiczów kult Mickiewicza i poezji romantycznej trwał nieprzerwanie, tradycja którą cała kulturalna Polska знаła. Każdego kogo gospodarz witał w progach domu, wiódł potem do kąpicy poety w salonie i pokazywał mu miniaturę Ewuni i portret poety, pamiętki tamtych dni i czasów o których wiedział zresztą niewiele. W czczotkowej kasetce chował pan Adam dwa listy wieszczki i brulion listu odmownego Ewuni, gdy na oświadczenia poety „w zgodzie z sumieniem, sercem i rodzicami” odpowiadała nie. Wielokrotnie nalegano na Ankwicza by te bezcenne dokumenty biograficzne opublikował. On odpowiadał jednak odmownie, dając do poznania że zbyt intymne to sprawy rodzinne by brutalnie odsłaniać je przed publicznością. Ale istotna przyczyna jego odmowy tkwiła gdzie indziej. Sprawiało mu przyjemność że był właścicielem narodowych pamiątek, stróżem tajemnicy o której mógł informować przyjaciół i w którą wtajemniczał historyków. Obawiał się także by przy zbyt skrupulatnych badaniach nie wyszło na jaw, iż pamiętki po Ewuni po prostu nabyto na licytacji gdy ona jako hrabina Kuczborska wysprzedawała się w długach. O młodości swej dziadecznej ciotki lubił gawędzić pan Adam, resztę prawdy o niej przemilczając starannie. I przyjaciele wierzyli i wierzyli historycy literatury. Legenda była żywa, piękna, nieodległa a piastunem jej był prezes Ankwicz.

„Czcigodny przedstawiciel wszystkiego co polskie”, „senior naszego ziemiaństwa”, „niestrudzony działacz na polu społecznym”, „wytrawny i doświadczony przewodca” — jak pisały o nim poważne dzienniki, na pochwały jak i na napaści nie reagował, skupiając się na pracy społecznej. Był zawodowym można by powiedzieć prezesem. Prezesem Klubu Posłów i Senatorów Narodowych, b. prezesem Koła Polskiego w Dumie,

prezesem Syndykatu Ziemiań, Prezesem Rady Kredytowej Ziemskiej, prezesem Rady Kredytowej Miejskiej, prezydentem Klubu Mieszczan Polskich, prezesem Czytelni Dziel Moralnych i Pożytecznych, prezesem Towarzystwa Przyjaciół Pieśni Polskich Wieniec, prezesem Towarzystwa Świetlic i Ogródków Ludowych, honorowym prezesem Oświaty Włociańskiej, naczelnikiem Kasy Zbiórek Narodowych 3-maja, przewodniczącym stałego Zjazdu Chrześcijańskich Chlebobawców, pierwszym seniorem katolickich kooperatyw stołecznych, prezesem Stowarzyszenia Budowy Tanich Domów Robotniczych które raz na rok urządało świetny bal, prezesem Towarzystwa Opieki nad Matką i Dzieckiem które raz na rok organizowało dzień kwiatka. Przewodniczył na ogólnopolskiej Radzie Kresowców Wschodnich i Zachodnich, gdyż stale mieszkał w Warszawie, patronował Bractwu Dobroczyńców, był naczelnym delegatem Z.Z.K., pierwszym filistrem Syrenii, honorowym seniorem Przyszłości.

Oprócz tych prezesur i przewodnictw, które hrabia Ankwicz spełniał bezinteresownie i które pochłaniały jego cenny czas mało kto wiedział że nadto poświęcał się organizacji przemysłu i że na tym polu oddawał krajowi cenne usługi. On sam milczał o tej stronie swej działalności uważając ją za mniej ważną w porównaniu ze służbą obywatelską. Ale dyrektor Hipolit Zatowski zmuszał go stale do piastowania prezesur kilkunastu rad nadzorczych lub ściślej mówiąc pełnienia obowiązków prezesa. Hrabia Ankwicz bowiem zastrzegł się stanowczo że prezesur przyjąć nie może, że do chwili znalezienia odpowiedniego kandydata pełnić może obowiązki prezesa. Nie jego było winą że akcjonariusze byli tak zadowoleni z jego działalności iż stale jemu powierzali zastępcze pełnienie obowiązków prezesa. Dyrektor Zatowski właściciel większości akcji w rozmaitych towarzystwach był bezwzględny i oddany wielbicielem Ankwicza i nie dopuszczał nawet myśli by „nasz czcigodny i kochany pan prezes” mógł być przez kogokolwiek zastąpionym. Tak więc rady nadzorcze Cukru i Bekonu, Koloru, Machinozyny, Alkalitu, Miedzi, Spółki Gall, Darski & Co. oraz parę jeszcze pomniejszych towarzystw wbrew woli Ankwicza przynosiły mu stałe dochody kilkudziesięciu tysięcy rocznie, wystarczających na jego skromne potrzeby.

Cała Polska знаła prezesa Ankwicza. Właśnie tego roku zbiegły się razem sześćdziesiąta piąta rocznica jego urodzin wraz w pięćdziesięciolecie jego pracy na polu obywatelskim. Jubileusz ten zmienił się w ogólnonarodową demonstrację, uświetnioną nadaniem Ankwiczowi orderu Orła Białego oraz tytułu szambelana Jego Świątobliwości, który Ojciec św. raczył mu przysłać wraz ze swym apostołskim błogosławieństwem. Telegramy i hołdy nadesłano także z całego kraju, a nawet od wychodźstwa polskiego z Ameryki, Afryki i z Australii. Wszędzie znana była działalność czcigodnego obywatela, który siły swe stargał w pracy dla drugich, sam nic z tego nie mając.

Mieszkał prezes Ankwicz w sześciopokojowym mieszkaniu we własnej kamienicy narożnej przy alejach Jerozolimskich. Kamienica ta była resztką po jego ogromnej fortunie którą pochłonęła rewolucja rosyjska. Przed pierwszą wojną światową klucz Maleczkowski stanowił jedną z najświetniejszych fortun polskich w Kijowszczyźnie. Bywalcy na dworze petersburskim dobrze pamiętali hrabiego Ankwicza uroczego młodzieńca, a potem pełnego wdzięku arystokratę.

Ankwicz nie był żonaty. Jak to się stało że on ostatni z rodu nie wstąpił nigdy w związki małżeńskie by utrzymać swe nazwisko było publiczną tajemnicą dworskich sfer Petersburga. Wiadomo było powszechnie, że związki bliskiej przyjaźni łączyły Ankwicza z wielką księżną Heleną i że sam car patrzył na to przychylnie i że czekał tylko na śmierć starego księcia by młodej kuzynce udzielić imperatorskiego pozwolenia na mezalians. Rewolucja zniszczyła te nadzieje i złamała życiowe rachuby

Ankwicza. Wielka księżna zginęła zamordowana okrutnie, a Ankwicz ocalał tylko przypadkiem po to by patrzeć na zabór swej fortuny.

Odkąd przyjechał do Warszawy w roku 1919 zamieszkał we własnym domu i pracował jak szlachecki społecznie. Z dworaka i polityka zrobił się zacnym i czcigodnym starcem pełnym życzliwości i przyjaźni dla wszystkich. W mieszkaniu swym największy pokój urządził jako gabinet do pracy, na półkach stały rzędem ustawione pudła z tytułami towarzyszt których był prezesem, członkiem zarządu, delegatem, lub członkiem honorowym. Oto moja rodzina, oto moje dzieci zwykł był mawiać uśmiechnięty.

Dalsze dwa pokoje przeznaczone były na salony w których Ankwicz przyjmował gości, delegacje i gdzie odbywał posiedzenia. Szły potem jadalnie większa i mała, sypialnia, a wreszcie w szóstym najmniejszym pokoju stłoczona była biblioteka Ankwiczów cudem uratowana z Maleczek. Prezes Ankwicz nie miał jej nigdy czasu uporządkować więc leżały tam nieuporządkowane starodawne księgi oraz archiwum rodzinne czekając wakacji chwili wolniejszej by właściciel pokierował pracą jakiegoś studenta który by sobie przy porządkowaniu chciał trochę grosza zarobić.

Salony były rzęsiście oświetlone. Umeblowane były jeszcze kiedyś przez ojca pana Adama, starego hrabiego w roku 1870 gdy kamienicę wygrał w karty od księcia Potemkina na przyjęciu u namiestnika Berga. Jakis czas mieszkała w niej słynna pani Calergi-Muchanoff z domu Nesselroda, przyjaciółka Szopena, Musseta, Wagnera, Liszta, jedna z najświetniejszych sawantek Warszawy. Po niej miały być meble i świeczniki, ciężkie marmurowe konsole oraz duży czarny fortepian i zegar francuski. Hrabia Ankwicz odnowił niedawno wszystko z nakładem kosztów i trudu lecz nie zmodernizował mieszkania. Zachowało ono ciężki reprezentacyjny styl z końca stulecia, pełen złocień, ornamentów, pluszów i marmurów.

Pod kolumną na której stało popiersie Napoleona prezes Ankwicz zazwyczaj witał gości. Właśnie wszedł dyrektor Zatowski zacierając ręce i podkręcając wąsa i witał się serdecznie z gospodarzem tłumacząc że żona nie mogła przyjść. Zapelniał swą wielką figurą drzwi, tak że niski mecenas Halwert nie mógł się precyzować „docisnąć — jak się wyraził — do kochanego pana prezesa”.

Salon się zapelniał. Poseł Dąbrowski przewodniczący Komisji Woj-skowej w Sejmie, senator Konstancy Czarniecki z żoną, obydwójce Zarembowie, generał Słotwiński, panna Iza Chrobberska stanowili grono najbliższych przyjaciół i domowników Ankwicza.

Wspominano Ukrainę. Wrócono pamięcią w dawne czasy by zapomnieć o wygnańczej doli współczesnej. Wypadki polityczne, ostatnia zmiana Rządu, nowe przesilenie które wisiało w powietrzu, strajki, bankructwa żydowskie, spadek akcji, ingres nowego biskupa, trudności klasztoru Felicjanek w Wyporowie z radykalnym starostą miejscowym wszystko to obgadano już i teraz chciano w tym gronie odpocząć wspominając przeszłość.

Czarniecki opowiadał:

— Nie tak było jak pan Kalikst zapisał w swych pamiętnikach które dobrze że nigdy nie ukazały się drukiem. Ja przecież pamiętam dobrze tego biednego Artura kiedy przyjechał na kontrakty do Kijowa w roku 1876...

— 1878 — poprawiła go żona.

— a niech tam będzie i w 78, dość że przyjechawszy wprost z Paryża przywiózł ze sobą mademoisellę (panie darują) a chytra francuzeczka już po dwóch latach rządziła majątkiem. I z nią się potem ożenił Ksawer Niemiłowski i stąd majątek. Ta jakże przecież Niemiłowskiich znałem, toż jego ojciec był rządcą u Potockich.

— W Peczorze?

— Skądże? W Horbyniu zwykłym rządcą... Cóż teraz Niemiłowscy mają mówić...

— Usłyszałam smutną nowinę — przerwała panna Iza — podobno Wacławowa Jadzwińska jest bez grosza...

— No to trzeba dopomóc... ze szczerym zmartwieniem rzucił Ankwicz. Kasa opieki nad kresowcami jest przecież czynna...

— Nie chce przyjąć żadnej zapomogi. Wciąż zdaje jej się że posiada swój majątek.

— Niech Pani jej powie że bolszewicy muszą na podstawie traktatu ryskiego płacić odszkodowanie i że właśnie wpłynęła pierwsza rata.

— Dopiero nie przyjmie. Odszkodowanie przesądzałoby jej zdaniem sprawę a tymczasem ona wierzy że wróci tam...

— I słusznie wierzy i my wszyscy tak wierzyć musimy — powiedział głębokim tonem generał Słotwiński ostatni b. gubernator gubernii samarskiej.

— Jadzwińscy zawsze hardzi byli w interesach stwierdził Czarniecki. Pamiętam że nawet Czarniszewskij w Kijowie kontraktów z nimi nie zawierał bez trzech świadków żydowskich. A i tak od niego wyprocesowali Potylicze.

— To zrobił Suwałow swoimi wpływami w Trybunale Ziemijskim.

— Nie bez poparcia hrabiny Kozłow w Petersburgu...

I rozmowa przeniosła się w epokę salonów, dworu, współzycia szlachty polskiej z rosyjską a potem przeszła na wypadki współczesne na młode pokolenie kresowców wychowanych już tutaj, po wojnie...

— Tak młodzi mało wiedzą o tamtych czasach...

— Nie interesują się nimi co gorzej.

— Ale mają poczucie godności, wiarę w powrót...

— W każdym razie wiedzą ileśmy na tej ziemi dla Polski robili.

W kącie salonu odwoławszy na bok prezesa Ankwicza stary pan Czarniecki rozpoczął poważnym tonem.

— Mój drogi przyszedłem do ciebie po radę?

— No służę, służę najchętniej...

— Mam kłopot z moim siostrzeńcem młodym Ostrogskim.

— No cóż takiego...

— Trochę lekkomyślny.

— Kto z nas nie był lekkomyślny w tym wieku...

— Ale sprawa przykra...

— Małżeństwo nieodpowiednie?

— Nie, co to to nie, to nie jest głupi chłopak...

— Długi?

— Otóż to, zobowiązania zaciągnięte nieopatrznie...

— Dużo? — spytał hr. Ankwicz znacznie chłodniej.

— Nie, jak na jego nazwisko i pozycję towarzyską to nie, ale jak na jego możliwości...

— Cóż się stało?

Pan Czarniecki nie łatwo opowiedział tę historię. Młody książę Ostrogski, syn starego księcia Jana Konstantego i siostry Czarnieckiego, niegdyś dziedzic klucza Wolmierskiego i właściciel połowy Odessy grał i to wysoko. Trzeba przyznać że grał z gestem — mówił Czarniecki — zawsze spłacał. Obecnie niestety zabrakło mu gotówki i podpisał dosyć wysokie weksle na których umieścił nazwisko Czarnieckiego, do czego się miał odwagę przed wujem przyznać. Niestety termin płatności upływa jutro w Banku Przemysłu i Rolnictwa a Czarniecki nie może nic uczynić. Musi kochanego Adama prosić o pomoc...

— To nie mnie to Zatońskiego... On tam ma decydujący wpływ — odpowiedział Ankwicz.

I rzucił sucho:

— Ile?

— Dziesięć tysięcy w tym kilkaset złotych jest potrzebnych gotówką ze względu na kasę koleżeńską którą młody Ostrogski zawiadywał. Trzeba uniknąć skandalu...

— Ankwicz obawiał się czy nie będzie proszony o pożyczkę, ponieważ zasadą jego życia było nie pożyczać nikomu. Przekonawszy się że tylko o protekcję do Zatowskiego rzekł:

— Mój drogi, wiesz że jestem zawsze na usługi dla wszystkich. Więc i w tym wypadku zaraz postaram się załatwić wszystko z Zatowskim. Trzeba uniknąć skandalu. Dziedzic takiego nazwiska ma prawo do pomocy. Tych kilkaset złotych to drobniąg, to się każdemu może zdarzyć.

— Chłopak muszę przyznać ma charakter — dodał Czarniecki. Wolał popaść w niebezpieczne długi niż choćby przez chwilę nie dotrzymać honorowego zobowiązania.

— Dobra krew — stwierdził Ankwicz. Z takich lekkomyślności się wyrasta.

I przypomniał że i on sam kiedyś przegrał Zytówek, Maniowce i dwa folwarki. Odkupił je ze względów obywatelskich jego ojciec...

Byłby się jeszcze rozgadał z Czarnieckim ale właśnie podszedł Zatowski.

— Kochany dyrektorze — zaczął nieco protekcyjnie Ankwicz — mam ja prośbę do pana...

Zatowski myślał: zawsze mnie te zebrania u Ankwicza kosztują, zawsze coś ode mnie wyciągnie. Ile to będzie tym razem. Ostatnio Ankwicz wylupił ode mnie sporą sumę na prasę narodową w formie ogłoszeń Machinozyny i przetworów Alkalitu.

Ale z drugiej strony Zatowski wiedział że kupował sobie przez Ankwicza oparcie i spokój ważnej i wpływowej grupy ludzi. Dzięki niemu dostał dostawy dla wojska a co najważniejsze monopol produkcji i konkurował skutecznie z wyrobami zagranicznymi. Rząd także dopłacał do eksportu jego fabryk.

Zatowski był skąpy. Wydawać nie lubił, szczególnie jeśli nie wiedział na co. Bank Handlu i Rolnictwa nie był jego własnością. Jeśli Bank był w posiadaniu weksli Czarnieckiego, to trudno, Zatowski nie ma wpływu na dyrekcję.

Równocześnie przyszło mu przez myśl że stary Czarniecki jest właścicielem nie brzydkiej parceli przy Pięknej i że teraz nastęcza mu się sposobność jej taniego kupna. Więc dał do poznania że rozumiejąc iż młodego człowieka trzeba ratować gotów byłby kupić tę parcelę lub pożyczyć na jej hipotekę... Ostatecznie dobito targu. Nazwisko było uratowane a Czarniecki po targach ustąpił by ratować sytuację siostrzeńca. Zły, zmartwiony opuścił zebranie rozumiejąc że traci resztki swej fortuny, ostatnie swe zabezpieczenie. Ale związki rodzinne, poczucie solidarności z Ostrogskim, obawa przed skandalem były w nim silniejsze. I złość jego skupiła się na Zatowskim. Żydzisko — myślał — w ręce takiego lotra wpadłem, toż jego ojciec był pachciarzem w Żytomierzu, przecie go pamiętam.

I pelen furii pożegnał się z Zatowskim:

— Do widzenia kochany dyrektorze, do widzenia. Zatelefonuję jutro do Banku i powołam się na naszą rozmowę.

Chcąc się zemścić dodał jeszcze:

— A jak ma się żona Pańska? Dawno jej już nie widziałem.

Mój Boże widzę ją zawsze na Ukrainie jak przyjeżdżała na wózku z ojcem, z tym kochanym, dobrym panem Wolniańskim.

— Wolańskim — poprawiła Czarnieckiego żona...

— A tak prawda Wolańskim. Jak to się nazwisk tych ludzi nie pamięta...

Do widzenia, do widzenia kochani...

Ale Zatowski nie był dotknięty. Cieszył się że za tanie pieniądze będzie właścicielem parceli którą wiedział że odsprzeda znacznie drożej i kręcąc wąża kłaniał się Czarnieckiemu.

Właśnie gdy goście się rozchodzili a był już kwadrans po dziewiątej przyszedł ksiądz prałat Matusik, poważny i spokojny, może trochę poważniejszy niż zazwyczaj bo miał interes do Ankwicza. Zobaczywszy pannę Izę Chroborską prosił by i ona została:

— Do obu mam interes do obu Państwa. Chciałem się naradzić...

Ton księdza Matusika był pełen troski. Nie nosił w sobie nic ze swobody i życzliwości, nie było w nim tej energii która go cechowała zazwyczaj. Przeciwnie ksiądz Matusik był czymś głęboko poruszony...

— Sprawa dotyczy i pani a raczej jej siostrzeńca. Przykra sprawa.

Panna Chroborska była zaalarmowana. Cóż się stało niech ksiądz Prałat będzie łaskaw mówić. Co takiego, jakaś lekkomyślność ze strony Stasia. Dziewczyzna?...

— Niestety gorzej czcigodna pani.

— Długi, lekkomyślności finansowe? Chłopiec jest zamożny...

Ksiądz jakby się namyślał przed powiedzeniem prawdy.

— Złe towarzystwo? Jakies złe nawyki?

Dreczęła się pytając księdza który przeszedł do szczegółowego opowiadania.

Skończył, chwilę panowało milczenie potem zabrał głos hrabia Ankwicz.

— Jako filister Syrenii miałem dzisiaj telefon w którym „kochana młodzież” donosiła mi że miała zajście z pani siostrzeńcem. Myślałem że to zwyczajna sprawa honorowa bez głębszego podłoża lecz teraz niestety widzę że nie, że jest na niej coś...

— To bardzo bolesne — powiedziała panna Iza i opadła w fotelu.

— To więcej niż bolesne rzucił Ankwicz to tragiczne i symptomatyczne. To nie lekkomyślność młodości ale zepsucie naszego wieku, zaraza nihilizmu która przedostała się wszędzie nawet w naszą sferę. To bolszewizm kompletny!

Zrobiłem co mogłem by młodzieńca powstrzymać na drodze na którą wstąpił. Byłem wyrozumiały, tłumaczyłem mu lecz w pewnym momencie musiałem go poskromić, gdyż inaczej mógłby zarazić innych — tłumaczył ksiądz prałat. — Kierując się jak największą oględnością i cierpliwością wysłuchałem jego poglądów, a widząc że to nie pomaga dopiero musiałem go przywołać do porządku. Nie mam do niego żadnego żalu i oczywiście wybaczę mu jeśli ochłonie i spostrzeże co zrobił. Ale niestety koledzy są na niego oburzeni. Obawiam się że nie będzie mógł z nimi dłużej przebywać.

— Księżę prałacie, panno Izo kochana — zaczął Ankwicz tonem przyzwyczajonym do przewodniczenia — pozwólcie że zabiorę głos. Niestety muszę być sędzią surowym ja który młodzież tak kocham i tak wielkie mam wyrozumienie dla błędów młodości. Właśnie przed chwilą ratowałem młodego Ostrońskiego z lekkomyślności w jaką popadł bo chłopak nie uczynił tego w złej woli i nie w złym zamiarze. Lecz sprawa Wojniłowicza ma inne oblicze i niestety panno Izo obawiam się że musimy wyciągnąć wobec pani siostrzeńca konsekwencje surowe. Tu nie o rzeczy pieniężne idzie ani nie romansowe, ale tu idzie o sprawy wielkie i święte. Ja który wiele mogę zrozumieć i wiele wybaczyć zachęcam księdza prałata by wytrwał na drodze przykładowej kary, przykładowej ze względu na innych.

Chroborska była złamana. Swoje ambicje życiowe umieściła w pracy społecznej i w Stasiu i była pewna że wychowuje go tak jak trzeba. Że poglądy religijne chłopca zaszczerpane przez matkę, tradycja rodu, wpływy otoczenia okażą się silniejsze od tych drobnych inklinacji dyskusyjnych, które od niedawna w siostrzeńcu zauważyła. To co powiedział przed chwilą ksiądz Matusik przeraziło ją nie tylko dlatego że gotowe było pchnąć Stasia w objęcia liberalizmu lub czegoś jeszcze znacznie gorszego — ale uniemożliwić jego karierę towarzyską, jego właściwe małżeństwo, słowem zniszczyć przyszłość chłopca. I jej położenie czyniło także bardzo trudne. W kołach katolickich Warszawy cieszyła się powszechnym szacun-

kiem. Niedawno powierzono jej obywatelską opiekę nad więźniarkami politycznymi i moralnymi, zaufano jej jako osobie bezwzględnie pewnej co teraz skoro jej wychowanek popadł w niebezpieczne lewicowe towarzystwo i wywołał taki skandal będzie chyba wykluczone.

Starala się zbadać sytuację, załagodzić:

— Czy jednak było tak źle księżę Pralacie?

— Droga Pani niestety bardzo źle.

— No tak, Stanisław ma pewne skłonności liberalne, powiedziałabym demokratyczne ale przecie to jeszcze nic złego...

— Tam jest znacznie gorzej tam występuje u niego zatrucie doktrynami materialistycznymi.

— O to, to — dodawał Ankwicz.

— Materialistycznymi, marksistowskimi...

— Ależ chłopiec jest religijny...

— Religijny — obawiam się że nie bo jego poglądy są materialistyczne.

— Jak to, co takiego mówił...

— Wygłaszał te utarte frazesy za pomocą których wszyscy rewolucjoniści podważają powagę kościoła. Żądał konsekwencji w zakresie nauki kościoła o miłości bliźniego i wykręcał naukę Chrystusa w kierunku słabości dla zła. A także muszę dodać był w stosunku do mnie bardzo agresywny. Nie okazał należnego szacunku dla sługi Kościoła.

— O Boże, Boże — wdychała panna Chroberska załamując się siłą wyroku księdza Matusika. Co zrobić — pytała.

— Niech Pani — zakończył Ankwicz — zmusi go aby przeprosił księdza pralata i w najbliższym numerze Przyszłości złożył pisemne oświadczenie, że nieporozumienie jakie powstało w Zarządzie Związku było spowodowane fałszywą interpretacją jego słów lub coś takiego w podobnej formie.

— Nie napisze tego bo jest Wojniłowiczem...

— Pani droga, znam ich równie dobrze jak Pani i pamiętam jak stary marszałek Wojniłowicz pisemnie imieniem szlachty zytomierskiej przeproszał generał-gubernatora Jakowlewa. Trzeba mu ten przykład postawić przed oczy...

— Nie robi tego wy go nie znacie...

— No to jego koledzy muszą spowodować potępiające go oświadczenie — podsycił Ankwicz. Ze złem trzeba walczyć.

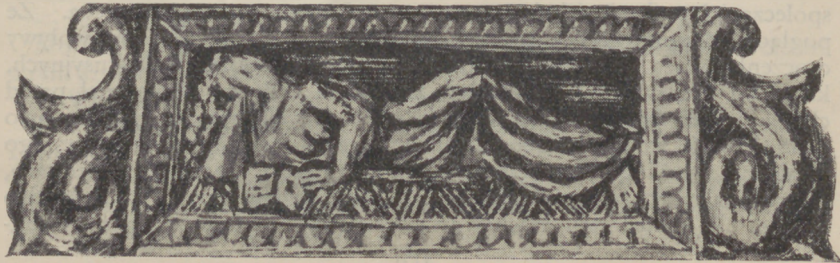
— Może jeszcze wiele naprawić — dopowiedział ksiądz Matusik. Wielkopańskie gesty rzucania prezesury, obrażania się na kolegów i seniorów Przyszłości nie doprowadzą do niczego. Musi się poddać więzom organizacyjnym. Trzeba także aby był w zgodzie ze swym sumieniem. Jakaś forma zadośćuczynienia jest konieczna.

Chroberska żegnała się w stanie bardzo wzburzonym. Przyrzekła jednak wpłynąć na siostrzeńca.

Gdy zostali sami Ankwicz nalewając pralатовi kieliszek wina węgierskiego powiedział: — Zaczyna panna Iza, niestety okazuje słaby charakter w stosunku do tego krnąbrnego chłopca.

— Nikt nie chce go gubić, przeciwnie — powiedział ksiądz Matusik i przeszedł do omawiania innych spraw i zagadnień z czcigodnym prezesem Ankwiczem.

d. c. n.



BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

DO EUTANAZJI POWSZECHNEJ LIRYCZNE
PROLEGOMENA RZEWNYMI PRZESŁANKAMI
ELEGII ŻARLIWIE ZAOPATRZONE

W bazylice
śpi bazyliiszek
spod pawich oczu
wschodzą zielone słońca

gdy księżyc zarzuci kotwicę na
[redzie
wody świadome
odpłyną z zatok czolowych
na zawsze
pozostawiając muszle
i szczątki jodynowych łodzi

zardzewiałe okręty podwodne
bulgocące w rzewnie mglistym
[bagnie
armatnią marmeladą

klucz antyżabich żurawi
utknął w piaszczystym powietrzu
nad pustynną obrozą
ceglastego miasta

na zapleśniałych barykadach
gęste plakaty
zadrukowane linami
krwi bezcelowej

łzawy idiota
o zasmolonych oczach
pierzastą głowę
podsuwa pod ostry wykrzyknik
[ulicy

na łęgach
pod mostem
kamienne pancerniki
niedzielnym święto-żujcom
na postrach

gęsi pasażerskie
zaplątane w węzeł
stęchłych chmur

ogniki świętojańskie
ociemniałe bezlitosną konkurencją
neonowych żwirów

strumienie sercopędne
ścięły się w klej dławiający
w ciecz niemrawą

z mącznych studni
guma bezpieczeństwa arabska
limfa poligamicznych murzynów
sącząca się w ptasim obłędzie

tunel międzyplanetarny
zatkany astrologiczną czekoladą

na brzegu wielbłądziego nieba
pudła parowe
kotwicami przybite
do zakorkowanego portu

czarna linia kolejowa
przekreśla zadymione miasto

w żaglowej piwiarni
miodem umazane mrówki
żują dziarskiego kapitana
skonfiskowanej fregaty

ojcowie pasieczni
gwiazdziste stannice
osady na lancach
w błotach bezbrzeżnych
podminowanych
prochami wybuchowych praszczu-
[rów

samobójcze
biało-czerwone ciała krwi
[powstańców
zmieszane z melancholijnym mułem
[prasłowiańskim

były mi pożywką
w przedpłodowym bytowaniu
podwójnego czasu

podziemny blask kości
z fosforycznych kurhanów
światłością jedyną
w puszczy wilkołacznych zaułków

gdy spiczasty plemnik
przebił wstydliwą skorupę jajeczka
na uczcie patriarchalnej
rozpoczął się mój żywot
palcami gęśli pisany

ojciec cieśla wielebny
młynarz uporczywy
drewnianymi korytami
skierował samolubny strumień
jurnego instynktowia
w błyskawicznie odruchową
[turbinę]

nadjażnionego młyna
w kostnym kościele
dziesięciu hebrajskich przykazań

donkiszotowe ramiona wiatraka
pod wicher łotrowskich dmuchawic

pracowite ręce
świątobliwej macierzy
nizaly mdłe ziarnka różańca
pod zasiew egzotycznych
[kompleksów]

w wieczory babuni
pełne jesiennego szopeństwa
wlewał się z naczyń muzycznych
szumny odwar duchów
do usznego błędnika
gdzie jeszcze nie stężał
galaretowy gwar ulicy

na końcu na biegunach
skrzetuśnie
machalem tekturową szablą
niemcom piwowarom
na pohybel
i kamienowałem

miękkie witraże
wolnomyślnych bóżnic
gdzie potajemnie
suchotniczy wywrotowcy
przystępowali do żydokomunii

boleściwy księżojad
dziki człowiek z Marksa
straszył mnie
po korytarzach gazet wieczornych
ślepiami ryżej pięciolatki

czołnem dworcowym
podróżowałem
po falach szyn telegraficznych

niańczyła mnie nieszczęśliwa ciotka
matematycznie wypchnięta
za nawias równań społecznych

w dziurawych butach
skrzypiał bemolową szarugą
hymn koszmarnie państwowi
przy akompaniamencie
majorowych ostróg

wśród nocy zapluskwionej hiobowo
nie słyszała zapleśniałego kaszlu
biała pani
z łaźienkowskiej legendy
bo zaszła
w napęczniałą wielkość
w stratosferyczne balonstwo
nadęte gazem ulańskim

mysz podmielna
cichoń cmentarny
obgryzający
zapłakane banknoty
płatniczych nakazów

książka pajęcza
roztaczająca morskie sieci
u przyładka słonych rozmyślań

dziadek wygryzoń
leśny małopud
ubrany grzecznie
w barchanowy kaftan
[bezpieczeństwa]

kwilił jodłowo
przeciw
boleśnie chirurgicznym zabiegom
szkoły miazdzącej kręgosłup

niespokojnemu dzieciakowi
podwójna dawka
eucharystycznej kokainy

chude źrenice
na książnistych polanach
na balach słowośpiwnych
[wypasów]

uszy darwinne
w rzewnym nadśluchu
tętnic przydrożnych
w fujarczym wypastuszeniu

wianki lipowe
na słomianych puklach
chochołów dojrzewających
w poświęcie wszechświatnych
[promieni
zaokrąglonych
nieustannym wirowaniem
ziemi ornej

słowa owsiane w koła
wóz jednoosi

ze śmierzącego podwórza
w świat ludożerczy
pobożnie wytapetowany
drzącymi listkami akacji

sąsiad żałośliwy
subiekt korzenny
druh frasobliwego dzieciństwa
cisnąc swój wylot rury trawiennej
do malowniczych umięśnięć
córy grabarza dziewiczych nagrob-
[ków

czuł ją
dymiącem rozgałęzieniem
nerwonego wieńcowania
w słonecznym oślinieniu
w usilnym z nią społeczeństwie

z jam go wtedy zakuwał
w pieśnioryt

orfeusz przypięty
do harfy gwiazdostrunnej
nad potokiem
mechanistycznych zapomnień

na żalomierzu
szklane oczy
w słup rtęci
gorzka kwarantanna
burzy zadżumionej horoskop

w ogniskach ziemskiej elipsy
dynamitowe kotły
warzące wszystkobójczy
rosół z tłustych atomów

pod domami uśpionymi
kołysanką gondol
rzeka gniewna
mieczowód acheronu
rozrywa rury
słonecznego zegara
i zalewa labirynt
uszu letejsko bezwiednych

sprośno-żółte jajka
na promienistej patelni
kot poranny
mleczny obrońca
łaskawej ciszy kuchni
pochylony nad pulchną gazetą

chlewna wesołość smarzonych
[kartofli
w omżach wiejskiego przedpołudnia
pszenna dusza domostwa
rozwiesza szeleściwą bieliznę
na cięciwie wiatru

w drewnitni
otoczonej ratunkowym kołem
[pocieszeń

belka się tuli do belki
i smolnie zastęga
w okrągłość obronną korabia

tęczowe promienisko
rozczepione piórnie
bombie wiry
nad topolami świtezi

na pokładzie
transoceanicznej ulicy
wozy ratunkowe
wyczekują sygnałów pochodu

konwulsjom drzew ziemi
niczym morfinowe pociski

popielowe myszy
podgryzają transmisyjne pasy
spalinowego wszechświata

w kolejce dantejsko podziemnej
oczy wiśni potępionych
[elektrycznie
gorzki smak krótkiego spięcia
kokard wzorzystych
w przeziębionej antenie gardła

pstre głośniki bruku
sekundy starte na puder
fotomontaż bólu głowy

banici boleściwi
bracia zmartwychwstańcy
w szklanym domu wariatów
żujący cierpkie kamienie
w dzień apokaliptycznie radosny
ostatecznego zwycięstwa
wyzwolonych żywiołów zniszczenia

BAYAMUS

(ciąg dalszy*)

V.

HISTORIA BAYAMUSA

— Nigdy nie widziałem moich rodziców, — powiedział. — Parę lat temu jednak udało mi się wydostać ich fotografię. Zrobiona była jeszcze przed moim urodzeniem. Typowa ślubna fotografia. Ojciec jest na niej w swoim niedzielnym ubraniu, matka zaś w białych koronkach alençońskich. Mieszkali niedaleko Alençon, w Normandii, w małej wiosce położonej nad rzeką Sarthe. Chłopi byli i uprawiali małe półko, dzierzawione od tamtejszego markiza. Wiem to wszystko od dr. Roux, lekarza z Alençon. Urodziłem się 25 kwietnia 1909 roku.

— Co za zbieg okoliczności! — wtrąciłem. — To właśnie w przybliżeniu dzień, w którym nastąpiło pewne zjednoczenie plemnika i komórki jajowej, oraz ich odpowiednich jąder i chromosomów, co dało początek *mnie*.

— Bardzo mnie to cieszy, — rzekł uprzejmie Bayamus. I ciągnął dalej: — Matka moja musiała tego dnia cierpieć straszliwie, skoro ojciec i sąsiedzi zdecydowali się posłać po doktora. Do Alençon, po dra Roux. W owym czasie nie było samochodów. Posłali po niego wysoki, ciężki, dwukółkowy wóz, który służył do wożenia ziemiopłodów. W międzyczasie jednak ja urodziłem się wreszcie i kiedy dr. Roux przyjechał zastał całą wieś w stanie wrzenia. Wszyscy wokół mówili o diable, proboszcz zaś oświadczył, że za nic w świecie nie ochrzczi takiego stworzenia, nawet gdyby sam papież tego od niego zażądał. I zupełnie serio chcieli zabić tę małą, dopiero co urodzoną dziewczynkę.

— Jakto: dziewczynkę!? — zawołałem zdziwiony.

— Czy jest coś nadzwyczajnego w tym, że się ktoś rodzi dziewczynką? — spytał Bayamus.

— No nie, — odrzekłem, — ale...

— Ja urodziłem się dziewczynką, — powiedział Bayamus. — Nie dlatego jednak chcieli mnie zabić. Chcieli mnie zabić dlatego, że urodziłem się z trzema nogami. Dr. Roux znalazł się w bardzo kłopotliwej i niebezpiecznej dla niego sytuacji. Chcieli, żeby to on mnie zabił.

— I co? I zrobił to? — powiedziałem, uświadamiając sobie w tej samej chwili całą głupotę mego pytania.

— Nie, — odrzekł Bayamus krótko.

Z przerośniętego, płaskiego, płytkiego, podłużnego przedmiotu z żółtej fibry wyjął żelazny mechanizm, składający się z rodzaju podeszwy oraz z czterech małych kółek, osadzonych na łożyskach kulkowych, przymocował ten mechanizm do swojej środkowej stopy i, bocznymi nogami odbiwszy się od trotuaru, pomknął szybko naprzód po jego gładkiej i twardej powierzchni.

Gdy go dogoniłem, zatrzymał się na chwilę i rzekł:

— Dr. Roux był przeświadczony że nie ma prawa wtrącać się do spraw Natury. Sądził że jest możliwe iż ja nie jestem jakimś wybrukiem przyrody lecz Mutantem, osobnikiem który da początek nowej odmianie.

— No, dobrze, — przerwałem mu, — ale co masz na myśli przez to „nie wtrącać się do spraw Natury”? Dr. Roux sam był częścią Natury. Nic co mógłby zrobić byłoby wtrącaniem się do jej spraw.

* Początek w poprzednim numerze „Nowej Polski”: BAYAMUS: 1. Theatrum Anatomicum; 2. Martwa Natura Z Czarnym Butem; 3. Palec w Ustach; 4. Trzecia Noga.

— No więc, — rzekł Bayamus, — powiedzmy zatem że tkwiąca w umyśle dra Roux idea niewtrącania się do spraw Natury była środkiem po jaki Natura chwyciła w celu ochrony nowego osobnika.

Szliśmy dalej. Bayamus na swym wrotku, ja obok, starając się dotrzymać mu kroku.

— I co potem? — spytałem.

— Czy to cię naprawdę interesuje? — odrzekł.

— Tak, — odpowiedziałem. — I przepraszam, że ci przerywałem.

— Och! — on na to. A potem mówił dalej: — Dr. Roux podszedł ich w ten sposób, że dał 20 franków moim rodzicom, drugie 20 franków starej wiedźmie, która odgrywała akuszerkę, i zapewnił ich że mnie poczwartuje, ale nie tam, na miejscu, a w Theatrum Anatomicum w Alençon. Po czym owinął mnie w powijaki i papier pakowy, napisał świadectwo śmierci, oświadczył tłumom zgromadzonym wokół chałupy, że właśnie umarłem, i zabrał mnie do swego domu w Alençon.

Dr. Roux nie był bogatym człowiekiem. Bojąc się że z powodu tej całej historii może stracić praktykę, ukrywał mnie w pokoiku w oficynie, gdzie nikt mnie nie mógł zobaczyć. Po paru miesiącach jednak ludzie zaczęli plotkować. Zwiertzyli, że coś dziwnego dzieje się w domu dra Roux. Wtedy dr. Roux obandażował mi moje trzy nogi i przedstawił mnie swoim przyjaciółom jako biedną, sparaliżowaną siostrzenicę. Sympatia całego miasta była teraz po jego stronie; förtel ten jednak nie mógł trwać długo, ponieważ trudno mi było rosnąć ze związanymi nogami. Koniec końców dr. Roux zabrał mnie za La Manche, gdzie znalazł pewną starą, bardzo bogatą i samotną lady, która, jak się okazało, była zachwycona tym, że może mnie wziąć na wychowanie. Nikt mnie tam nie wytykał palcem i żyłem normalnie, tak jak inne dzieci.

Dr. Roux przyjeżdżał dokładnie co rok. Specjalnie po to, żeby mnie odwiedzić. Co go najbardziej interesowało we mnie, to rozwój moich organów płciowych, wciąż bowiem był przekonany że dam początek nowemu pokoleniu trzynogów. Biedny dr. Roux! Teraz wiem już z całą pewnością, że w końcu zakochał się we mnie. Obiecywał sobie, że poczeka aż skończę siedemnaście lat i wtedy ożeni się mną. Kiedy jednak przyjechał znowu w roku 1923, miałem wówczas czternaście lat odkrył nagle że zamieniłem się w mężczyznę. Pamiętam doskonale, że płakał. Ronił łzy, jak mały, pokrzywdzony chłopiec. Potem dokonał na mnie drobnego zabiegu chirurgicznego, który polegał na zmianie pozycji moich jąder, a potem wziął mnie na długą, przyjacielską i bardzo poważną rozmowę. „Bayamus”, powiedział, „ponieważ już nie jesteś więcej Bayama. Bayamus, oto jak się nazywasz teraz. Pierwszy i jedyny znany okaz człowieka trzynogiego. Oto czym jesteś. Misją zaś twoją jest mieć stosunki płciowe z kobietami i zapładniać je, aby wydały na świat nowe okazy tej niezwykłej odmiany trzynogów. Oto jaka jest twoja misja!” Oto mniej więcej co powiedział. Nie widziałem go już więcej potem.

— A czy masz dzieci? — spytałem.

— Ba! — odrzekł. — Czy to tak łatwo wiedzieć? Nie mam żadnej pewności. Widzisz, po tej rozmowie z dr. Roux zacząłem żyć z tą starszą lady, która mnie wychowywała. Ale dzieckiem byłem przecież. Nie widziałem że jest ona za stara na to aby zająć w ciążę. Była już po sześćdziesiątce. A potem,... Widzisz... Dwunogie kobiety mają pełno przesądów. Stosunki społeczne też są... Ach! To bardzo trudne zadanie dla Natury, zacząć coś nowego w tak zwanym cywilizowanym społeczeństwie. No a ty sam, gdybyś był kobietą, miałbyś coś przeciwko temu żeby wyjść za mnie zamąż?

Miałem uczucie takie, jak gdyby nagle coś przekreśliło się we mnie w obronie przed tą sugestią. Po chwili zastanowienia doszedłem jednak do wniosku że to uczucie nie wynikło stąd iż Bayamus był trzynogiem, lecz stąd iż był mężczyzną.

— Nie miałbym — odrzekłem — nic przeciwko temu; gdybyś to ty był kobietą.

— Obawiam się, — on na to, — że nie rozumiesz o co mi chodzi. To nie jest tylko sprawa stosunku płciowego. Chodzi o to, żeby mieć dzieci. Kobiety jakie znałem wykazywały wiele zainteresowania moją osobą i były bardzo szczęśliwe i zadowolone ze mnie. Upierały się jednak przy tym, żeby używać tych wszystkich zapobiegawczych wihajstrów, czy jaksięta-monezwów. Byłem już nawet zmuszony do wynajdowania wstrętnych, obrzydliwych sztuczek. I spójrz! Mam już trzydzieści sześć lat i wciąż nie wiem, czy dałem początek tej nowej rasie trzynogów, czy nie.

— To, — rzekłem, — smutne rzeczywiście; powiedz mi jednak, dlaczego tak usilnie, z takim uporem obstajesz przy tym, żeby zapoczątkować tę nową rasę, gatunek, czy odmianę. Czy myślisz, że ci nowi ludzie będą szczęśliwsi od nas? Co mają oni do zyskania, co wygrają tą swoją trzecią nogą?

— Och! — wykrzyknął zdumiony, — jak możesz nawet o to pytać? A to...? Spójrz! Wrotki!

I, odbiwszy się od trotuaru obiema bocznymi nogami, ruszył szybko naprzód na tym żelaznym mechanizmie, składającym się z czterech małych kółek osadzonych na łożyskach kulkowych, oraz z rodzaju podeszwy przymocowanej do jego środkowej stopy.

VI.

W R O T K I

— Zaraz, zaraz! — rzekłem. — Co do mnie, to nie mogę znaleźć w sobie ani śladu dążności, usposobienia, czy skłonności do oglądania tych wrotek od ich strony jasnej i budzącej nadzieję na przyszłość. Nie oczekuję wielkich rzeczy po nich. Widzisz, w czasie owych ożywionych, międzynarodowych, za pomocą siły oręża dokonywanych wrogości, które rozpoczęły serię konfliktów pomiędzy narodami, konfliktów o wiele przerażających przeciętny, zwykły przykład tego rodzaju, a którym nadano nazwę Pierwszej Wojny Światowej, byłem w Rosji. Mój ojciec, widzisz, był lekarzem i został powołany do armii rosyjskiej. Kiedy front przesuwał się na wschód, jechaliśmy i my na wschód, aby być po tej samej linii ognia co on. My, to znaczy jego rodzina. Cztery lata miałem kiedy wojna zaczęła się; osiem, kiedy pokój został podpisany. Więc, widzisz, wróciliśmy do mego rodzinnego miasta, do naszego starego mieszkania, którego nie pamiętałem prawie wcale, w którym jednak znalazłem przedwojenne wrotki mego brata, schowane w skrzynce bez wieka, posiadającej uchwyt po jednej stronie, i uczynionej tak, że można ją było dość swobodnie, w jedną i drugą stronę, suwać w drewnianej konstrukcji, będącej częścią olbrzymiego, gigantycznego przedmiotu, posiadającego przedział na wieszanie ubrań, i należącego do Klasy artykułów, teoretycznie ruchomych, i składających się na umeblowanie mieszkania. Widzisz więc, że miałem wrotki, w moim własnym posiadaniu. A jednak nie mogłem ich używać. Ani na jezdni, bo zbudowana była z wielkich, okrągłych kamieni w kształcie kociego łba. Ani na chodnikach, bo chodniki były dla tych co chodzili pieszo. Ani na esplanadzie „Za Tumem”, wzniesionej wysoko nad rzeką, bo ziemia tam była miękka, mokra, i przylepiała się do żelaznych kółek. Na dodatek istniały jeszcze dwie psychologiczne, albo socjalne przeszkody. Po pierwsze, moje wrotki były jedynymi wrotkami w mieście [nie mam pojęcia kto dał je był mojemu bratu w prezencie], i ludzie wytykali mnie palcem, tak jak ciebie by wytykali palcem teraz w Alençon, gdybyś tam pojechał, a nie lubiłem, żeby mnie kto palcem wytykał; po drugie, dla wielu moich kolegów wrotki były czymś tak nieosiągalnym, jak rower był nieosiągalny dla mnie, jak samochód był nieosiągalny dla tych co po-

siadali rower, i jak powóz, zaprzężony w dwa czy cztery konie, nieosiągalny był dla tych, co posiadali samochód, jako że w owym szczególnym punkcie czaso-przestrzeni powóz zaprzężony w cztery konie stał o wiele wyżej na drabinie hierarchii społecznej niż wóz poruszany masywnym i mocnym silnikiem, w którym energia dostarczana przez spalające się paliwo zamieniana jest wprost w energię mechaniczną, co odbywa się dzięki wybuchom, zachodzącym w cylindrze, za tłokiem, a ja nie lubiłem mieć nic takiego, co powodowałoby w innych uczucie zazdrości, ponieważ to wywoływało we mnie poczucie winy, a rozumiesz przecież, że z poczuciem winy trudno jest jeździć na wrotkach. Jednak, nawet jeśli odrzucimy te dwie psycho-socjologiczne przeszkody, wciąż jeszcze pozostanie fakt, że jedyną powierzchnią, dostatecznie gładką aby po niej jeździć na wrotkach, była powierzchnia podłogi naszego mieszkania. Tam jednak pełno było mebli ustawionych po wszystkich kątach i w ogóle widzisz przecież co to za nonsens byłby jeździć na wrotkach w pokoju. Powierzchnia naszej ziemi nie jest równa, gładka, wyszlifowana. Przeciwnie. Pełno na niej nieregularności i wybojów, kosmata i urwista, wznosi się i opada, poręta wzdłuż i w szerz. Przykro mi, ale nie widzę na niej miejsca dla wrotków.

— Co za śmieszny z ciebie facet! — rzekł Bayamus. — Nie widzisz, że to wszystko coś powiedział jest właśnie powodem, dla którego nasze biologiczne wrotki wciąż jeszcze są nierozwinięte? Powierzchnia ziemi staje się jednak teraz coraz gładka i gładka. Wyrównywany ją, znosimy wybrzuszenia, zaspujemy doły, wygładzamy drogi i ścieżki. I teraz Natura będzie mogła rozwinąć biologiczne wrotki pod stopą ludzką. Mnie *już* dała moją trzecią nogę, która wspaniale się nadaje do tego celu właśnie.

— Być może — odrzekłem. — Przyznasz jednak, Bayamus, że nie można mieć wrotków bez kółek, prawda? Otóż nic takiego jak koło po prostu nie istnieje w Naturze!

— A, — powiedział Bayamus, — a Ziemia, a Księżyc, czy nie są one pewnego rodzaju kołami, wirującymi w przestrzeni?

— No więc..., — odrzekłem, — powiedzmy, że nic takiego nie istnieje na powierzchni ziemi.

— A, — powiedział Bayamus, — a wrotki, a rowery, a samochody, a...

— Słusznie, — odrzekłem, — to wszystko jednak jest zrobione przez człowieka.

— A, — powiedział Bayamus, — a muszla ślimaka czy nie jest zrobiona przez ślimaka? Gdzie tu jest różnica?

— Ślimak — odrzekłem — nie może przestać produkować muszli, ptak zaś, na przykład, może się powstrzymać od budowania gniazda, jeżeli zechce.

— To nieprawda — odrzekł Bayamus. — W pewnych warunkach, na przykład przy braku wapna, ślimak może przestać produkować muszle, w pewnych warunkach zaś, na przykład wtedy kiedy zbliża się pora składania jaj, ptak nie może się powstrzymać od budowania gniazda.

— No dobrze, — powiedziałem, — masz rację. Mnie chodziło jednak nie o to, a o różnicę w metodzie: muszla rozwija się, rośnie, powiększa swoją wielkość za pomocą formowania nowej tkanki, podczas gdy gniazdo budowane jest za pomocą składania do kupy rozmaitych przedmiotów, składników, materiałów.

— Innymi słowy, — rzekł Bayamus, — chcesz powiedzieć że Natura może wprawdzie budować koła za pośrednictwem człowieka, nie potrafi jednak zrobić żeby rosty.

— Tak, — powiedziałem.

— Ale dlaczego? — zapytał.

— Zastanów się, Bayamus, — ja na to, — pomyśl sobie co to jest koło? Krąg, zdolny do obracania się wokół swojej osi. Lecz w takim razie

nie może on być z tą swoją osią połączony. Ani tkanką łączną, ani mięsną, ani nerwową. Jak więc ma rosnąć?

— To bardzo proste, — odrzekł Bayamus. — Wyobraź sobie coś w rodzaju odcisku, rosnącego pod podeszwą twojej stopy. Wyobraź sobie że rośnie on tak jak rośnie paznokieć czy ząb. I że przybiera kształt osi. Następnie, w określonych punktach tej osi zaczynają tworzyć się zgrubienia. Przypuszczam, że będzie się to odbywać jeszcze w okresie płodowym albo też we wczesnym dzieciństwie. Następnie oś zacznie twardnieć jak kość, a te zgrubienia na niej zaczną twardnieć jak kopyto. I jeśli teraz oś będzie twardnieć nieco szybciej niż zgrubienia, to te zgrubienia, które będą już miały kształt małych kółek, zaczną się oddzielać od osi, pomiędzy nimi i osią wytworzy się luz, i będzie można obracać nimi wokół ile tylko się komu podoba.

— Pięknie! — powiedziałem. — Zapomniałeś jednak o tarcu. Musiałbyś jeszcze do każdego z nich doczepić małe naczynko ze smarem.

— Ach, — odrzekł zniecierpliwiony, — a od czego nasze gruczoły łojowe, których wydzieliny będą oliwiły łożyska, i od czego nasze gruczoły potne, produkujące wodę, która parując nie dopuści do nadmiernego powiększenia się temperatury?

VII.

MUTACJE

— Może i masz rację... — powiedziałem bez wielkiego przekonania.

W tej chwili jednak Bayamus podniósł swą środkową nogę i zatrzymał się nagle.

— Żaraz, zaraz, — rzekł, — dokąd idziemy teraz?

— Jużes zapomniał? — spytałem zdziwiony. — Idziemy do Teatru Poezji Semantycznej.

— Eh, — on na to, — oczywiście że o tym nie zapomniałem. Skądżeby znów?! Cały czas kiedy ci opowiadałem moją historię, w myślach miałem właśnie ten Problem Poezji Semantycznej.

— Żałuję, — powiedziałem, — ale nie widzę związku pomiędzy tymi dwiema rzeczami.

— Nie widzisz? — spytał.

— Nie! — odrzekłem.

— No więc spójrz... — on na to. — Ty mógłbyś zrobić dziecko dwunożnej kobiecie, ale to dziecko byłoby tylko przetasowaniem genów. Natomiast ja gdybym zrobił jej dziecko, to to by stanowiło prawdziwy postęp. Ponieważ ja jestem Mutant! I to samo w sztuce. Możesz skrzyżować ze sobą Tycjana i Rubensa, ale potomstwo ich będzie jedynie przetasowaniem genów. Spróbuj jednak skrzyżować jednego z nich ze Schwit-tersem, a być może że otrzymasz prawdziwy postęp picassów. Ponieważ Schwitters jest również Mutantem. I Poezja Semantyczna jest Mutantem! I Trzecia Noga! I Wrotki!

— Zgoda, — rzekłem po chwili zastanowienia, — zgoda na to, że różnice pomiędzy poszczególnymi obrazami, albo pomiędzy poszczególnymi wierszami, różnice stanowiące o tym czy obraz, lub wiersz, będzie „zdolny” czy „niezdolny” do przetrwania, co jest podstawą na której opiera się selekcja naturalna i, prawdopodobnie, ewolucja sztuki, zjawiają się nie dzięki otoczeniu, współczesnemu czy przeszłemu, lecz dzięki rewolucyjnym odskokom od typu, dzięki Dadaistycznym Wrotkom czy Trzecim Nogom Poezji Semantycznej. Czy nie widzisz jednak, w sztuce przynajmniej, że te odskoki nie są bynajmniej spontaniczne, że to one same właśnie pojawiają się na skutek wpływu otoczenia, i, co za tym idzie, nie mogą być tym, co nazywamy Mutantami.

— Falsz! — zawołał Bayamus. — Pewne mutacje, nawet jeśli chodzi o żywe istoty, wywołane być mogą przez wpływ środowiska, na przykład: przez bombardowanie komórek promieniami Roentgena, albo przez zatrucie ich colchichiną. A jednak rozradzają się normalnie, to znaczy: potomstwo ich dziedziczy tę nową cechę zgodnie z prawami Mendla. I to jest najważniejsze. Nie stopień spontaniczności, a fakt przekazywania nowej cechy następnym pokoleniom. Prawdą jest, że Dada-Wrotki, Trzecia Noga P.S., itd., tym czym są stały się dlatego że komórki ich bombardowane były Roentgenowskimi Promieniami Walki Klasowej, dlatego że zatrucane były Colchichiną Socjalną. Potem jednak zachowały się jak Mutanty. Nowym pokoleniom, zgodnie z prawami Mendla, przekazują swoje nowe cechy. Stanowią to co nazywamy słowem: postęp. Musimy je ochraniać!

— Dlaczego! — spytałem. — Dlaczego mamy je ochraniać? Dlaczego mamy się wtrącać do tej walki jaka powstaje między nimi i typem pierwotnym? Jeżeli są „zdolne”, przetrwają; jeżeli są „niezdolne”, muszą odejść.

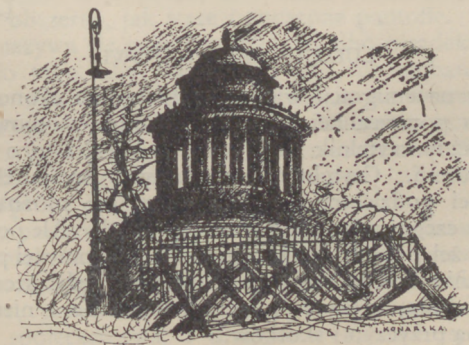
— Ach, jaki okrutny jesteś! — wykrzyknął Bayamus. Jak koń, grzebiący ziemię kopytem, stuknął swą środkową nogą w trotuar i kółka uniesionych w górę wrotków długo jeszcze obracały się w powietrzu, brzęcząc. Jeszcze raz i jeszcze raz powtórzył niecierpliwie to samo. A potem zamyślił się i dopiero po chwili rzekł: — Ich „zdolność” czy „niezdolność” nie istnieje sama w sobie. W jednym środowisku są „zdolne”, „pasują” i przeżywają, w innym środowisku są „niezdolne”, „niepasują” i zostają wyeliminowane. Ale przecież środowisko to także i ty. Czy aż tak bardzo jesteś ze swego własnego typu zadowolony, żeby nim właśnie mierzyć wszystkich nowoprzybyłych i wydawać sądy: „ten „pasuje” do mnie, „zdolny” jest, może więc zostać; ów „nie pasuje”, „niezdolny” jest, musi zatem odejść!” Czy nie byłoby lepiej i dla ciebie i dla „postępu” gdybyś był mniej okrutny i arogancki a za to bardziej wolnomyślny i skromny?

— Być może... — zacząłem. — Wciąż jeszcze staliśmy na rogu ulicy i wciąż jeszcze trzymałem go za niewielką ilość spłaszczoną okrągłą masę rogową którą, przyczepioną do prawego skraju jego marynarki, przechodziła przez dziurkę w odpowiednim miejscu lewego skraju i w ten sposób trzymała ją zamkniętą. — Słuchaj, — rzekłem, — dlaczego spytałeś mnie przedtem: „dokąd idziemy teraz”, jeżeli, jak mówisz, nie zapomniałeś, że idziemy do Teatru Poezji Semantycznej?

— No bo zapomniałem którędy się tam idzie! — odrzekł po prostu.

Część mego ciała tworząca zakończenie przedramienia wykonała akt poruszenia się w kierunku tyłu tej części mego ciała która znajdowała się na moim stosie pacierzowym, na górze, za czym paznokcie oraz czubki moich palców i kciuka zaczęły drapać lekko skórę, wraz z jej gruczołami lojowymi, torebkami włosowymi itd.

d. c. n



ANDRZEJ NOWICKI

BALLADA O TRZECH OKNACH

Pewna wdówka niemłoda, acz jeszcze ponętna
Grywała na pianinie wariacje na temat.
Wdówkę kochał poeta tęskniący do piękna
I na jej cześć co wieczór układał poemat.

U wdówki jest gramofon i tango i grzywka,
Szał perski, sztuczne kwiaty i wachlarz na ścianie —
Za poetą tęskniła panna z naprzeciwka
U której tylko oczy, usta i kochanie.

U wdówki w oknie ptaszki, tort na imieniny
I aptekarz w lansadach marzący o spadku —
Aptekarza w lansadach nie ma u dziewczyny
I w oknie nic takiego, oprócz niej i kwiatków.

I w trzech oknach co wieczór światło świec się świeci
I gaśnie, gdy noc spływa deszczem gwiazd na miasto.
Wdówka o szczęściu z tanga, panna o poecie,
O wdówce śni poeta, wiersze pisząc gwiazdom.

Ach, świat jest zagmatwany bez sensu i racji —
Nie wdówka dla poety, nie poeta pannie —
To temat romantycznych conocnych wariacji
Granych tysiącem okien, zawsze, nieustannie.

Czasem gwiazda się gwiazdom odrywa i spada,
Okna nagle otwarte szczęście sobie wróżą...
Ale gwiazdy spadają łąkom — nie podwórzom —
I nigdy się szczęśliwie nie kończy ballada.

MARIA FIDERER

REFLEKSJE I SENTENCJE

Chociaż ci sprzyja ten wieczór mglisty
i noc bezgwiezdna,
jakże mnie wygnasz z ziemi ojczystej,
Jeśli jej nie znasz?

(A. Stoniński).

LUDZIE MARGINESOWI

To, co Polacy na emigracji wiedzą o strukturze ekonomicznej Polski, podobne jest do powszechnej wiedzy o bombie atomowej. Każdy radiosłuchacz, i każdy czytelnik gazet wie, że chodzi tu o siłę powstającą przy rozbiciu atomu. Czytelnicy popularnych broszurek, kupowanych w kioskach kolei podziemnej wiedzą nawet jak można bombardować jądro atomu i do czego w tym wypadku służy rad. Ale oczywiście trudno sobie wyobrazić, żeby ta garstka konkretnych wiadomości pomogła laikowi do skonstruowania bomby atomowej. Nawet cały szereg faktów nie odzwierciedla procesu, który jest łańcuchem ściśle i nierozzerwalnie połączonych ze sobą przyczyn i skutków.

Powstanie państwa i przemiany społeczne to są właśnie takie procesy odbywające się na płaszczyźnie nauk humanistycznych, a więc jeszcze trudniejsze do wyjaśnienia i zdefiniowania. Wartościowanie faktów społecznych jest działalnością stojącą daleko poza uprzednim ich zrozumieniem i wyjaśnieniem, ujęciem w jakąś logiczną koncepcję, z którą można dyskutować.

Anglia przeżyła wielki wstrząs gospodarczy: straciła w tej wojnie kapitały, z których żyła. Wielki wstrząs społeczny: do władzy przyszła Labour Party z programem zasadniczych reform. Świat cały głowi się nad sposobem użycia energii atomowej, która może zupełnie nieodwołalnie zadecydować o jego losach.

Na marginesie tych wielkich wydarzeń, spraw i wstrząsających problemów żyje mała grupka ludzi, która zajmuje się wymyślaniem małych kłamstw na temat rzeczy, które nikogo nie obchodzą. Robi to beznadziejnie smutne wrażenie, jak bezcelowe i bezskuteczne wysiłki schizofreników, które męczą przede wszystkim obserwatora. Wszyscy wiedzą, że wskutek tego Polska nie znajmie w polityce Wielkiej Brytanii miejsca innego, aniżeli to uzasadniają własne angielskie interesy. Że stosunki Anglii i Rosji zależą od spraw bez porównania ważniejszych, ale co więcej, że w samej Polsce nic się absolutnie przez to nie zmieni. Ani chłopci nie złożą więcej zboża na kontyngent, ani dzieci szkolne nie będą miały więcej podręczników, ani żadna partia, czy grupa społeczna nie stanie się ani silniejsza, ani słabsza, bo powstawaniem i upadkiem grup społecznych rządzi logika rozwoju historycznego, jak to udowodniły wyraźnie ich własne dzieje. Ale ci ludzie żyją na marginesie wszelkiej logiki. W końcu wyjadą do Brazylii, czy Argentyny, w najlepszym wypadku uzyskają po długich staraniach obywatelstwo brytyjskie i zagubią się w odmierzonym rozwoju wypadków. Emigracja jako grupa społeczna skazana jest prędzej, czy później na zupełne zniknięcie, albo przez kompletne zasymilowanie się z otaczającym ją społeczeństwem, albo przez powrót, do kraju. Każda emigracja skazana jest na martwość wskutek braku technicznych środków działania, wśród których propaganda i to propaganda idąca pod prąd rzeczywistości zajmuje tylko bardzo poślednie miejsce. Nowoczesną wiarą w siłę reklamy i agitacji zachwiała potężnie brutalna wojenna rzeczywistość, w której ostatecznie do głosu dochodziły tylko fakty i to fakty ujęte cyfrowo.

Oczywiście nie chodzi tu o przekonanie ludzi, którzy *wierzą*, że mają rację. Wymagałoby to patosu misjonarzy oduczających szczepy afrykańskie ludożerstwa. Po prostu w zetknięciu się z tak wielką ilością nieporozumień, w człowieku budzi się mimowolna ochota dokonania pewnych wyjaśnień i sprostowań.

O ISTOCIE DEMOKRACJI

Nie ma chyba terminu częściej używanego i gorzej zdefiniowanego jak słowo „demokracja”. Wprzęgnięte w twardą służbę codziennego użycia, naciągane i skracane w mowach, artykułach i deklaracjach, określenie to zrobiło się zbyt obszerne, jak stare i znoszone pantofle. Określenie takie w teorii prawa nazywa się pojęciem luźnym, albo nieadekwatnym, w życiu służy zwykle do tego, aby podstawić pod nie najbardziej różnorodne treści. Dlatego właśnie wszelkie rozważania na temat demokracji są jeszcze ciągle możliwe, wszelkie przyczynki i interpretacje są uprawnione. I zawsze chodzi tylko o to, aby je logicznie uzasadnić i socjologicznie udokumentować. Ostatecznej wartości pojęcie nabiera dopiero wtedy, kiedy wytrzyma próbę praktycznego zastosowania.

Właśnie z tego punktu widzenia demokracja nie jest ustawą, ani szeregiem ustaw, ani normą prawną, którą można uchwalić nawet jednogłośnie. Demokracja jest ciągłym procesem społecznym, w którym biorą udział wszystkie grupy, procesem zdeterminowanym warunkami dotychczasowego rozwoju społeczeństwa, i dlatego w różnych społeczeństwach —

różnym. Ustawodawstwo ogranicza się tylko do stwarzania instytucji możliwie najlepiej służących potrzebom społecznym.

Najbardziej charakterystyczną cechą tego procesu jest nieskrępowane dążenie do awansu społecznego (które zwykle wyraża się w kryteriach najbardziej materialnych, jak przede wszystkim podwyższenie stopy życiowej) i wydobywanie się na powierzchnię życia zbiorowego coraz nowych grup społecznych, których pojawienie się powoduje dalsze zaburzenia i przemiany we wszystkich dziedzinach tego życia. Zależnie od stopnia rozwoju społeczeństwa przemiany te odbywają się mniej lub bardziej gwałtownie, są mniej lub bardziej widoczne dla każdego obserwatora w rzeczach najbardziej powierzchownych i zewnętrznych, ale odbywają się wszędzie i wielkie wydarzenia na świecie, począwszy od rewolucji rosyjskiej, aż do dzisiejszych ustaw nacjonalizacyjnych rządu Labour Party — są tylko ich zmienną, a widoczną formą.

Procesów tych nie może zaplanować ani narzucić żaden ustawodawca, ani żadna organizacja państwowa, tak jak rozwoju ich nie może zahamować i przerwać ostatecznie żadna, choćby najlepiej uzbrojona władza administracyjna. Jest to bowiem historia podobna do stałego przeciążania sieci elektrycznej. Naprzód spalają się nadwężone korki w przedpokojach, i można sobie jakoś poradzić we własnym zakresie. Potem palą się korki w całej klatce schodowej, ale i wtedy przy pomocy dozorczy jakoś się łąta. Kiedy jednak nacisk nie ustaje, tylko wzrasta, niszczy się w końcu cały kabel elektryczny i światło gaśnie na całej ulicy. Demokratyczny rząd w demokratycznym państwie jest czynnikiem powołanym do tego, aby stworzyć, to znaczy zaplanować i zrealizować instytucje życia społecznego najbardziej odpowiadające potrzebom demokracji w danych warunkach gospodarczych i społecznych. Społeczeństwo bowiem nie jest plazmą, rozlewającą się bezkształtnie po terytorium państwowym, ale zjawiskiem ujętym w bardzo ściśle i szczegółowo określone instytucje, które decydują szczegółowo o jego dalszym rozwoju. Żaden parlament nie może wydać ustawy, że od jakiegoś terminu zaczyna obowiązywać demokracja, tak jak nic nie pomoże mocne postanowienie poprawy przewidziane w rytuale spowiedzi. Metodyści zrozumieli to dobrze, że poprawa zależy nie od psychicznej funkcji postanowienia, ale od technicznej, realnej, metodycznej zmiany trybu życia.

WOJNA, CZY REWOLUCJA

Wojna zrealizowała właściwie stare plany międzynarodowej rewolucji. Zniszczyła kapitał finansowy, lokując go bez reszty w gigantycznej produkcji zbrojeniowej, która, jeżeli świat ma istnieć normalnie bez kryzysów i bezrobocia, musi przemienić się całkowicie i bez reszty w produkcję dóbr użytecznych. Wojna wysunęła na plan pierwszy grupy społeczne bezpośrednio zatrudnione w procesie produkcyjnym. Politycznym wyrazem tego były wszystkie rządy jedności narodowej na okres wojny, a po jej zakończeniu — zwycięstwa, lub procentowy wzrost partii lewicowych, począwszy od Anglii i Francji, aż do Polski, Jugosławii i Węgier. Przede wszystkim zaś wojna przy pomocy bardzo radykalnych metod zmusiła świat do gospodarki planowej. Problem ten nie przestał istnieć z chwilą zakończenia wojny. Przeciwnie, jak o tym świadczy choćby ilość zapisanego na ten temat papieru, wszyscy zastanawiają się nad tym, jak ten stan utrzymać w skali państwowej i międzynarodowej, bo wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że każda prawna i polityczna instytucja międzynarodowa będzie tak długo fikcją, jak długo nie będzie oparta o międzynarodową współpracę gospodarczą.

Planowa gospodarka pociąga za sobą nieprzyjemne, ale nieuniknione konsekwencje, mianowicie dość daleko posuniętą, często aż do przejęcia własności ingerencję państwa w sprawy gospodarcze, jako czynnika planującego i strzegącego wykonania planu. Dalej, gospodarka planowa

w połączeniu z demokracją społeczną, wymaga, powiedzmy najbardziej ogólnie, szeregu reform dających w rezultacie możliwie najbardziej a w każdym razie bardziej—sprawiedliwy rozdział dochodu społecznego. To znowu powoduje, niestety, konieczność uchylenia pewnych przywilejów gospodarczych i społecznych, które w dodatku, ku wielkiemu zmartwieniu jednych albo złośliwej radości innych nie stają się w obecnej sytuacji gospodarczej przywilejem, a wręcz przeciwnie, trudnym zobowiązaniem. Dotyczyć to będzie specjalnie reformy rolnej, przeprowadzonej we wszystkich krajach południowo-wschodniej Europy. Wojna wreszcie zniszczyła na całym świecie techniczne urządzenia faszystów, jego instytucje administracyjne, fabryki broni, armie. Nie zdołała oczywiście usunąć śladów, jakie przez dwanaście lat swego panowania, siły, rozwoju, a przede wszystkim terroru politycznego instytucje te zdołały wycisnąć na społeczeństwach i to jest bodajże jeden z głównych problemów powojennej rzeczywistości.

ZNASZ-LI TEN KRAJ

Tam, gdzie nigdy nie kwitły cytryny, gdzie natomiast szeroko rosną zboże i kartofle, gdzie większość społeczeństwa stanowi uprawiający je człowiek, a rozwój gospodarczy świata gwałtownie woła o rozwój przemysłu — wojna i jej konsekwencje też znalazły swoje specyficzne odbicie i zmusiły społeczeństwo do przyjęcia pewnych form organizacyjnych celem łatwiejszego i skuteczniejszego przeprowadzenia odbudowy państwa.

To co się dzieje obecnie w Polsce zdeterminowane jest procesem historycznym w niemiejszym stopniu, aniżeli zmiany, jakie zachodzą na całym świecie. Dalej, bez żadnego specjalnego odwoływania się do logiki, historii, ekonomii, czy po prostu ludzkiego rozsądku, niezmaconego swoistą obsesją, czy fikcją — powiedzieć można, że jest to jedyna możliwość życia, działania, istnienia. Jedyna, bo Polska wskutek swego położenia geograficznego i struktury gospodarczej nigdy nie miała wyboru, nie mogła balansować na żadnej równowadze potęg, zawsze musiała jasno i wyraźnie decydować. Być może, że to właśnie jest istotną przyczyną gwałtownego zaostrenia w stosunkach wewnętrznych, tej, uzasadnionej całym kompleksem spraw od nas niezależnych trudności zawierania kompromisu z przeciwnikami. Każde niemal zboczenie od linii wytkniętej przez rozwój wypadków, zachodzących na całym świecie, może spowodować katastrofę. Wszyscy niezadowoleni mogą mieć pretensje tylko do dziesięciu wieków historii Polski, a trochę do siebie i do własnych antenatów.

Polska polityka zagraniczna mogła kształtować się tylko w bezpośredniej orbicie wpływów granicznego sąsiada zachodniego, albo wschodniego. Dla tych wszystkich, którzy sami tworzyli i przeżyli jej proniemiecki okres nie jest to żadną nowością, ani zaskoczeniem. Ci, którzy przeżyli (może zbyt mało tragicznie) jej katastrofalne załamanie, tym lepiej powinni zrozumieć jej zasadniczą bezcelowość i konieczność jej diametralnej zmiany. Polska w swej polityce zagranicznej jest zależna od Rosji nie dlatego, że tak chce taka czy inna partia, ale dlatego, że tak zdecydowało położenie 20-o milionowego narodu u boku 120-o milionowego, kraju rolniczego i cofniętego gospodarczo, obok kraju rozwijającego się szybko w mocarstwo światowe. O stosunkach polsko-rosyjskich, podobnie jak o żadnym problemie politycznym, nie można mówić w terminologii psychologicznej: miłości i nienawiści, ale językiem ekonomii i demografii. Wtedy dopiero to, co się mówi nie będzie bełkotem, ale szeregiem zrozumiałe sformułowanych zdań i wtedy dopiero można będzie ocenić słusność dolskiej polityki zagranicznej.

To, że także Związek Radziecki wygrał tę wojnę, to, że w Anglii upaństwowiono Bank Anglii, a projektuje się upaństwowienie całego szeregu ważnych gałęzi przemysłu, a dalej nawet służby zdrowia, telegrafu i radia — to nie są tylko skutki wojny. To są także skutki rewolucji. Plan,

którego kiedyś nie mógł urzeczywistnić Lenin i jego zawodowi rewolucjoniści, uzbrojeni co najwyżej w karabiny, w dwadzieścia pięć lat później został wykonany przy pomocy tanków, samolotów, milionowych armii i gigantycznej produkcji wojennej. Proces ten albo przyspieszy i wykrystalizuje energia atomowa, albo świat przestanie istnieć. Jest to sytuacja, w której można zaryzykować cytaty z Apokalipsy. Planowa gospodarka w skali światowej, międzynarodowa współpraca oparta o normę prawną, będącą nie tylko wiekiustym postulatem, jak statut Ligi Narodów, ale ujętą w rzeczywiste działające instytucje — stały się koniecznościami, których nie można uniknąć. Faszyzm zniknął z powierzchni ziemi nie tylko jako siła państwowa i militarna, ale jako koncepcja polityczna i gospodarcza, pozwalając społeczeństwu świata na rozwój w jedynym racjonalnym kierunku. Zmienić kierunek można tylko przy pomocy siły i to siły całkowicie niszczącej.

Polskie aliance polityczne w niczym nie zmieniły ogólnego biegu spraw. Do Polski nie przyniosła rewolucji Czerwona Armia na bagnietach, nie dokonała jej PPR, ani PPS. W Polsce działa ta sama koniunktura historyczna, jedyna zresztą w jakiej państwo może dokonać radykalnych przemian decydujących o jego dalszym rozwoju, przemian, na które długo czekało. Partie polityczne, które siłą działania tego okresu historycznego wypłynęły na powierzchnię życia społecznego, są jedynie najbardziej stosownym narzędziem dla dokonania tych przemian. Są to partie, które zdecydowały się wykonać bezkompromisowo reformę rolną, stworzyć rady zakładowe we fabrykach, walczyć o reformę szkolnictwa, o odbudowę polskiej kultury w zmienionych warunkach i zgodnie z nimi.

Jeżeli Polska ma być państwem, musi przejść bardzo trudny okres nie tylko odbudowy, ale i przebudowy gospodarczej. Jeżeli ma być państwem demokratycznym musi zapewnić swym obywatelom sprawiedliwy rozdział dochodu społecznego, a przede wszystkim dochód społeczny w ogóle. Polityczne przywileje demokracji są tak długo fikcją jak długo nie można z nich korzystać z powodu nędzy, lub analfabetyzmu. Dlatego największy nacisk w rozważaniu sytuacji polskiej należy położyć na sprawy gospodarcze, a wszelkie ataki na tę, czy inne ustawy, na taki, czy inny system polityczny w Polsce, nazywanie go terrorem, czy okupacją jest tylko taktycznym odwróceniem uwagi od procesów, które w Polsce przebiegają z trudem, ale prawidłowo.

Reforma rolna jest tylko początkiem przebudowy rolnictwa i racjonalnej gospodarki, która by ziemię chłopską uczyniła wydajniejszą. Rady zakładowe są tylko początkiem samorządu gospodarczego — ale wszystko to są instytucje, które musiały powstać, a które mogły powstać tylko w obecnym układzie politycznym. Trudno się przecież było spodziewać, że właściciele ziemscy ogarnięci nagłym przyływym szlacheckiej fantazji zaczną rozdawać chłopom ziemię, że polscy czy zagraniczni właściciele fabryk dobrowolnie i wbrew własnym interesom poddadzą się kontroli państwa w ramach planowej gospodarki i będą współpracować z radami zakładowymi. W każdym razie trudno było na tych nadziejach budować jakąkolwiek przyszłość.

MATERIAŁ LUDZKI

Schematy teoretycznej ekonomii i socjologii w praktyce realizują ludzie. Oni tworzą i wypełniają instytucje i we wszelkie statystyczne i metodologiczne ścisłości wnoszą trudny do zdefiniowania i usystematyzowania — współczynnik humanistyczny. Dopiero po tym uzupełnieniu, na matematycznych prawach ekonomicznych, na geometrycznych strukturach teoretycznej socjologii narastają problemy kulturalne. Są one najtrudniejsze do zbadania, bo chociaż leżą widoczne na powierzchni życia społecznego, nie można ich dość skutecznie normować bezpośrednią działalnością, ani zaplanować tak, jak produkcję węgla, czy wysokość kontyngentu.

Spółeczeństwo polskie przeszło w czasie okupacji niemieckiej głęboki wstrząs — więcej niż polityczny — bo moralny, który podważył i zachwiał wszystkie zasady obowiązującej etyki. W tym czasie urosło i spotężniało drobnomieszczactwo polskie, które, w przeciwieństwie do angielskiej upper i lower middle class, wcale nie jest solą naszej ziemi. Wręcz odwrotnie.

Są to grupy społeczne, które w życiu gospodarczym Polski zajęły miejsce wyniszczonych Żydów, przejmując w drodze tak zwanej inicjatywy prywatnej większą część handlu, oraz bogacąc się na nielegalnych spekulacjach w czasie okupacji, utrzymują do dziś jaskrawo i nieproporcjonalnie wysoką stopę życiową, w dalszym ciągu przy pomocy pół-legalnego handlu, czyli po prostu paskarstwa. Ludzie ci w stosunku do dawnych grup społecznych zasilających OZN i ONR nie wiele się zmienili. Niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli w czasie tej przymusowej, a trudnej pięcioletniej edukacji. Jeżeli się wyodrębni w osobną grupę inteligencję polską, która przechodzi dość radykalne przemiany — drobnomieszczactwo pozostaje najmniej produktywną grupą źle wykwalifikowanych urzędników i nieuczciwych kupców. Do tych grup najłatwiej trafiła nieobliczalna po prostu w skutkach demoralizacja niemiecka. (Co oczywiście nie znaczy że ominęła całkowicie wszystkie inne). Ci ludzie najłatwiej uczyli się, że nienawiść i pogardę można podnieść do godności prawa wykonywanego rygorystycznie przez duży i skomplikowany aparat administracyjny. Oni najszybciej uwierzyli, że prawa obywatelskie należne wszystkim na równi, bez różnicy pochodzenia, wiary i rasy są przestarzałą mrzonką. Że trzeba tylko trochę siły i trochę bezkarności, aby pozbawić tych praw wszystkich, do których zechce się zastosować własne, zupełnie dowolne kryteria różniczkujące. To oni wdrapywali się na huśtawki na placu Krasińskich, aby ciekawie zaglądać za mury walczącego ghetta, oni handlowali rzeczami wysprzedających się z nędzy Polaków i Żydów. Może nie zdradzali, ale nigdy nie walczyli. Byli zawsze lojalni i w trwodze uciekali na Zachód, czepiając się rozpaczliwie niemieckich furmanek, aby uniknąć historycznych decyzji. Dlatego faszyzm w Polsce i słuszna przed nim obawa, to nie są mniejsze, czy większe uzbrojone po lasach grupki NSZ (choć i one oczywiście stanowią swoiste niebezpieczeństwo), ale głębokie zachwianie podstaw moralnych i światopoglądu, które trzeba nie tylko naprawiać, ale gdzie się naprawić nie da, trzeba zwalczać.

Chłop polski, ogromna większość społeczeństwa, przetrwał nie poddając się propagandzie faszyzmu, ani jego presji gospodarczej i mimo wielkiego zniszczenia wsi przez wszystkie odchodzące i przychodzące armie jest dziś faktycznym dyktatorem kraju. Od kontyngentów bowiem, dostarczanych na potrzeby miast po cenach państwowych zależy w dużej mierze sprawne funkcjonowanie aparatu gospodarczego. Tam właśnie, po wsiach w rzeszowskim, czy kieleckim, zdecydowała się na długie wieki historia Polski, oddając decyzję w ręce, które umiały prowadzić tylko drewnianą sochę, a nie umiały stawiać liter. Cały rozwój gospodarczy i społeczny, który wbrew wszystkiemu, co się w Polsce działo przeszedł chłop polski, jeszcze ciągle nie wystarcza, jeżeli ta grupa społeczna ma zdecydować o dobrobycie, rozwoju społecznym i poziomie kulturalnym państwa.

Chłopi wzięli ziemię. To był pierwszy i zasadniczy krok, krok pojednania z historią. Teraz chodzi o to, aby czynili z niej narzędzie użyteczności społecznej, aby, zaspokoiwszy instynkt posiadania ziemi, umieli wydobyc z niej maksimum leżących odłogiem korzyści. Zanim rolnicza Polska stanie się przemysłowo-rolniczą Holandią, czy Danią, upłynie jeszcze wiele czasu, ale do tego zmierza cały dzisiejszy wysiłek rządu i społeczeństwa i to decyduje o wszystkich innych sprawach.

Zanim Polska stanie się krajem przemysłowym, albo choćby tylko w większym stopniu uprzemysłowionym, robotnik polski ponosi większość kon-

sekwencji reorganizacji gospodarczej. Na nim przede wszystkim odbija się każde niedociągnięcie w dostarczaniu kontyngentów, antyinflacyjna polityka rządu, zniszczenie polskiego przemysłu, nieumiejętność, a często nieuczciwość aparatu administracyjnego.

W kraju takim jak Polska, marksowska teoria o rozbudowie przemysłu, a w następstwie ilościowym wzroście klasy robotniczej i jej społecznego ciężaru gatunkowego — nie da się w ogóle utrzymać w swej klasycznej formie. Mimo to, robotnicy są w Polsce grupą najbardziej postępową, jeżeli nie kulturalnie, to w każdym razie gospodarczo i społecznie, choć ilościowo stanowią tylko niewielki odsetek społeczeństwa, a przemysł polski wcale nie jest wyrazem ostatnich osiągnięć technicznej doskonałości.

Chłopi i robotnicy niesłusznie wyświechtani po wszystkich plakatach propagandowych, są to w Polsce dwie grupy, dla których słowo demokracja ma istotny, społeczny i rewolucyjny sens. Dla inteligenta jest to właściwie ciągle przedmiot rozważań abstrakcyjnych, koncepcja logicznie usystematyzowanego światopoglądu, jest to obrona wartości intelektualnych niezawsze ujętych w formę instytucji, dość elastycznych. Tylko w chwilach wielkiego społecznego napięcia dochodzi do walki o pewien interes społeczny pomiędzy inteligencją a władzą administracyjną, ale i wtedy inteligencja występuje tylko jako część wielkich i klasowo złożonych ruchów społecznych.

Dla mieszczaństwa demokracja jest ciągle jeszcze tak, czy inaczej pojętą zasadą *laissez fair*, nieskrępowaną swobodą prywatnej inicjatywy i nienaruszalnym przez ingerencję państwa konserwatyzmem społecznym.

Jedynie dla chłopów i robotników demokracja oznacza konkretną organizację społeczną, w której państwo odgrywa dziś rolę inicjatora. Dla tych grup jest to sprawa powstania zupełnie nowych instytucji, których dotychczas nie było, a które pozwolą im na wzięcie udziału w życiu społecznym. Nie chodzi tu jedynie o uprawnienia polityczne, ale o realną możliwość wpływu na wszystkie dziedziny życia społecznego, a przede wszystkim o prawo decyzji na tych płaszczyznach, na których grupy te formują się i ujawniają, to znaczy na płaszczyznach gospodarczych. Awans społeczny robotnika czy chłopca zaczyna się od podwyższenia stopy życiowej, od zorganizowania prawnych i gospodarczych możliwości dalszego awansu, ale zmierza wyraźnie ku samorządowi w dziedzinie gospodarczej, ku prawom decydowania o organizacji życia gospodarczego i dalej — do zużytkowania swej nowej pozycji społecznej, do zwiększonej konsumpcji dóbr kulturalnych. Być może ta postępowość klasy robotniczej jest wynikiem wtórnego działania ideologii socjalistycznej, popularnej wśród polskiej klasy robotniczej od pięćdziesięciu przeszło lat i mającej swą piękną, a romantyczną historię. Dużą rolę w uświadomieniu społecznym robotników odegrały niewątpliwie Związki Zawodowe, które, jeżeli chodzi o wychowanie i przygotowanie materiału ludzkiego do działalności społecznej, dawały niekiedy rzeczywiście zdumiewające rezultaty.

Zapewne wiele przyczyn złożyło się na to, że polska klasa robotnicza swym programem społecznym wybiegła daleko poza rozwój wypadków, że nie tylko jej istnienie i działalność nie zostały zdeterminowane gospodarczym rozwojem i uprzemysłowieniem kraju, ale przeciwnie, to ona teraz usiłuje zrealizować obydwa te postulaty według wytycznych swojego programu. Program ten, wbrew głębokiemu przekonaniu wielu patriotów *in partibus infidelium* — nie jest programem komunistycznym. Nie jest to nawet próba realizacji reformistycznego programu Drugiej Międzynarodówki, który wykonany kiedyś ostatecznie, dałby niewątpliwie jeszcze bardziej radykalne rezultaty. Po prostu, gdyby „prawdziwa P.P.S”, reprezentowana przez Arciszewskiego chciała zrealizować zwyczajny radoski program, opuściliby ją sprzymierzeńcy nawet tak radykalni, jak Bielecki, czy Doboszyński. Całe ich szczęście, że Arciszewskiemu nie chodzi o realizację żadnego programu.

W Polsce natomiast ludzie stawiani przed rzeczywistymi problemami muszą myśleć realnie i w danych, polskich warunkach usiłują, walcząc z wielkimi trudnościami umożliwić rozwój demokracji, ponieważ demokracja, jak tego wyraźnie uczy przykład społeczeństwa angielskiego jest przywilejem społeczeństw choć trochę zamożniejszych, które, już nie mówiąc o posiadaniu łazienek, zjadają dziennie jako tako wystarczającą ilość kalorii. Ponieważ, jak powiedział któryś z lewicowców francuskich, demokracja nie polega na tym że nikomu nie wolno ukraść bochenka chleba, a wszystkim wolno spać pod mostem, — budowę ustroju demokratycznego musi się zacząć od tego, aby wszystkim zapewnić pożądaną ilość chleba i przestrzeni mieszkalnej na zimę. Ludzie, którzy zobaczyliby Warszawę, Gdańsk, Wrocław i setki innych miast polskich, zrozumieliby, że to nie są sprawy łatwe, a może i przekonaliby się że w tej walce o chleb dla miast i maszyny rolnicze dla wsi, nie można pod żadnym pozorem tolerować ludzi, którzy w wykonaniu tych konieczności usiłują przeskodzić. Obecna sytuacja gospodarcza w Polsce obniża wszelką walkę polityczną do poziomu sabotażu, ponieważ ci, którzy chcą walczyć wiedzą, że najcelniejsze jest właśnie uderzenie w odbudowujący się transport, przemysł, czy chłopską gospodarkę, że najszybciej prowadzi do celu fizyczne niszczenie ludzi, którzy te rzeczy organizują.

W Polsce nigdy przedtem nie było instytucji demokratycznych. Te, które istniały, pozbawione były właściwie wpływu na życie społeczne, tak jak parlament, albo jedynie walczyły z trudnościami i broniły zagrożonych osiągnięć, jak na przykład Związki Zawodowe. Teraz więc obok starań o odbudowę gospodarczą, najważniejszym problemem jest stworzenie takich instytucji.

Reforma rolna pociąga za sobą konieczność rozbudowania spółdzielczości na wsi, upaństwowienie, względnie kontrola państwowa w wielu gałęziach przemysłu wymaga zorganizowanej współpracy robotnika. Dla tego stworzono Samopomoc Chłopską i Rady Zakładowe, które w miarę postępu gospodarczego kraju, rozrosną się w samorząd gospodarczy.

Funkcjonowanie tych wszystkich instytucji ulega ciągle jeszcze zaburzeniom przy większych wahanich koniunktury, zależnie od urodzaju, od ton wydobytego węgla, metrów utkanego materiału i wymaga często pomocy państwa. Ludzie wchodzący w skład instytucji samorządowych, nie zawsze stoją na wysokości zadania, bo przez wiele lat byli tylko przedmiotami życia gospodarczego, a samorząd wymaga wysokiej fachowości. Ale instytucje zostały stworzone i dostosowane do działania organizmu gospodarczego i one są realną formą, w której będzie się rozwijała polska demokracja.

Ludzie związani z dawną strukturą gospodarczą, z wielką własnością rolną, posiadacze kapitałów produkcyjnych i finansowych musieli odejść ponieważ wojna i okupacja niemiecka zniszczyły strukturę gospodarczą, która była podstawą ich społecznego znaczenia. Nowe formy gospodarcze wysunęły nowe grupy społeczne dotychczas żyjące na marginesie, bierne, co najwyżej defensywne. Obok trudności przystosowania materiału ludzkiego do nowych warunków są chyba jednym z najpoważniejszych problemów w Polsce.

Ciągle jeszcze spotyka się niewłaściwych ludzi na niewłaściwych miejscach, ludzie niefachowych, niewykształconych, często karierowiczów. Jeżeli doda się do tego poważny ubytek wielu cennych sił fachowych, które w ten, czy inny sposób zniszczyła wojna, sytuacja wygląda czasem naprawdę źle. Brak jest nauczycieli, lekarzy, profesorów uniwersytetu, wykwalifikowanych robotników i urzędników, inżynierów i agronomów, i nieskończonej ilości wszystkich innych zawodów.

Do braków fizycznych dochodzą jeszcze braki moralne, demoralizacja, pozostalność po okupacji, w czasie której nie pracować, albo pracować źle było zasługą, kiedy często każdy nielegalny zarobek, albo kradzież ma-

teriałów z fabryki urastały do rozmiarów akcji oporu, kiedy brać łapówki znaczyło pomagać rodakom przeciw administracji okupacyjnej. I to także nie pozostaje bez wpływu na sprawne działanie aparatu gospodarczego i administracyjnego w Polsce.

Wysiłki Rządu i organizacji społecznych idą w dwu kierunkach: aby z masy społecznej wydobyć i wciągnąć w organizację życia państwowego jak największą ilość jak najmniej zdemoralizowanych ludzi i żeby jak najszybciej wykształcić nowych na ciągle jeszcze nie obsadzone miejsca. Pod tym względem, nie ma w Polsce żadnego doktrynerstwa, co wszyscy mogą łatwo zauważyć choćby przeglądając jakiegokolwiek listy personalne, składy uniwersytetów polskich, polskiego korpusu dyplomatycznego, administracji, szkolnictwa i t.p. Ktokolwiek chce uczciwie pracować i może być pożyteczny, przyjmowany jest chętnie i okazuje mu się pełne zaufanie, nie zależnie od pochodzenia, wyznania, dawnej działalności politycznej. Wszystkie twierdzenia przeciwne są bezwzględnie kłamstwem. Wyjątek stanowią jedynie ludzie, którzy jawnie i otwarcie występują jako wrogowie rządu, rozciągając tę wrogość na całe społeczeństwo i dobrowolnie wyrzekając się jakiegokolwiek współpracy i łączności.

Polska przeżyła swą rewolucję nie na barykadach, ale w obozach koncentracyjnych, więzieniach, na każdej ulicy każdego miasta i teraz ponosi jej pełne konsekwencje społeczne.

TEŚKNIĄCA NACJA

„Teśkniąca nacja, ginąca klasa”, pisano kiedyś o inteligencji. Już na wiele lat przed wojną inteligencję polską, podobnie zresztą jak francuską cechował intelektualny i moralny niepokój. Ludzie, albo wieścili noce długich noży, aby się wyżyć w jakiejś akcji, choćby nie prowadzącej do żadnego celu, albo nie decydowali się na nic, szukając rozpaczliwie sensu nadchodzącego czasu w katolicyzmie i w marksizmie, w liberalizmie, albo w intelektualnym uwielbieniu dla sily paramilitarnych organizacji. Inteligencję dręczyły teśknoty metafizyczne.

Wszyscy (a może tylko niektórzy) zdawali sobie sprawę z tego, że zasadniczej przebudowy wymaga nie tylko nadwerżona kryzysami gospodarka światowa, nie tylko zachwiana równowaga międzynarodowych sił politycznych, ale także, a może przede wszystkim zasadnicze, podstawowe pojęcia kulturalne. Literatura tego okresu pełna jest takich dokumentów trwogi i dezorientacji, „Dusz w mroku”, i rozpaczliwej walki o „Ład serca”.

Pokolenie przedwojenne, młoda inteligencja dwudziestu lat niepodległości przeżywała kolejno wielkie rozczarowania i klęski. Racjonalizm, który odbierał jej wiarę w sprawy metafizyczne, prowadził ostatecznie tylko do teorii względności i filozoficznego indeterminizmu. Demokracja dewaluowała się w kompromisach z faszyzmem, hiszpańska próba oporu przeciwko temu była tylko zawiedziona nadzieją. Komunizm przeżywał gwałtowny kryzys wewnętrzny w procesach trockistowskich, a faszyzm, który powstał jako radykalny program społeczny, przestał być w ogóle jakąkolwiek ideologią, stał się tylko wielką groźbą nieuniknionej katastrofy, wobec której pacyfizm wyrosły z ostatniej wojny stawał się bezradny.

Wojna i okupacja brutalnie przerwały ten lunatyczny nastrój. Wojna i okupacja były wstrząsem głębszym aniżeli ktokolwiek mógł i ośmielił się przypuszczać. Ludzie zrozumieli nagle, że wielkie klęski i wielkie upokorzenia rodzą się nie tylko z upośledzenia gospodarczego i społecznego, nie tylko z bicia po twarzy, ale także, a może przede wszystkim z bezradności ludzkiego umysłu wobec rozpetanych namiętności, z zasadniczo fałszywego podejścia do zagadnień, które stawia przed nim rzeczywistość. Z braku jakichkolwiek naukowych metod badawczych, przy pomocy których można zanalizować rzeczywistość, braku definicji i terminologii, braku wspólnego języka, który pozwoliłby uniknąć tragicznych nieporozumień, braku określonego i jasno wyrażonego światopoglądu,

który wytrzymuje proces obiektywnej weryfikacji i pozwala stworzyć jakieś kryteria wartości.

Nie wielu ludzi zdaje sobie dziś sprawę z tego, jak głęboko zagadnienia te poruszają polską inteligencję, jak trudno jest zdyskontować rewolucję także i na płaszczyźnie kulturalnej, albo inaczej, jak bardzo przewrót społeczny zmienia aspekty kulturalne.

Proces wydobywania się na powierzchnię życia społecznego grup nie uczestniczących w nim dotychczas oddziałuje także na procesy kulturalne. Na rynku dóbr kulturalnych pojawia się nagle wielka masa nowych konsumentów, którzy domagają się rzeczy specjalnych.

Pierwszym zadaniem wtedy staje się upowszechnienie dotychczasowego dorobku kulturalnego, stają się potrzebne wznowienia literackie i to w masowych nakładach, a po bardzo niskich cenach, teatr obliczony nie na zysk, ale na niżkowe bilety dla Związków Zawodowych, repertuar dostosowany także do potrzeb i wymagań nowego widza. Wszystko co się dzieje w dziedzinie kultury wymaga wielu uproszczeń, wielu skrótów, wielu komentarzy, aby było łatwo dostępne i zrozumiałe. Z drugiej strony trzeba energicznie przeciwdziałać spłyceciu i stereotypizacji. Inteligencja twórcza, naukowcy, literaci, aktorzy, malarze, stają przed skomplikowanym problemem połączenia w swych dziełach wartości naukowych i artystycznych z wartościami społecznymi. Zagadnienie takie zmusza niejednokrotnie do rewizji całego światopoglądu.

Wartość społeczna oczywiście nie jest tylko jakąś wymierną cyfrową wartością utylitarną, ale zrealizowanie jej ma na celu zaspokojenie pewnych potrzeb, rozwiązanie problemów, które niedawno urosły i ciągle jeszcze urastają. Po wojnie potrzeby takie są gwałtowne i masowe. W Anglii, gdzie teatr jest przede wszystkim przedsiębiorstwem widowiskowym, czyta się często w prasie głosy krytyki i twierdzenia, że ludzie za swoje szylingi chcieliby zobaczyć właśnie rzeczy które ich pasjonują, niepokoją, ciekawią, sprawy bliżej i bezpośrednio związane z życiem. Jest zapewne tak, że zanim oficjalna uka czy ustawodawstwo rozstrzygną zdecydowanie i ostatecznie jakieś wątpliwości ludzie poszukują ich rozwiązania w sztuce tak jak w religii. Z tego właśnie punktu widzenia w okresach historycznych, bogatych w nierozstrzygniętą i nieskomplikowaną problematykę dobra jest taka literatura i sztuka, która trafia w sedno zagadnień, formuluje je i rozstrzyga. Tego oczekują ludzie, to potrafi, może, i chce dać dobry artysta, którego uspołecznienie nie polega na udziale w jakimś kolektywie wytwórczym, ale na związaniu z tym samym, wspólnym wszystkim nurtem czasu, na dostrzeganiu i artystycznym ujęciu problemów, które w jakiejś bardziej pośledniej, zwyczajnej i stereotypowej formie są udziałem wszystkich.

Twórczość w okresie takim jak dzisiejszy nie jest sprawą łatwą i prostą. Grupy społeczne, które tworzą kulturę nie tworzą jej na bezludziu, a jedyną oznaką demokracji na tych płaszczyznach jest poczucie współobywatelstwa z każdym, najmniej atrakcyjnym, banalnym człowiekiem. Forma w jakiej się wyraża tę powszechną społeczną treść jest indywidualnym osiągnięciem artysty, a jedyną miarą jej wartości jest chyba to, w jakim stopniu, słowo, gest, kształt, czy barwa służą doskonałemu wyrażeniu pożądanej treści.

Doktrynalna, fanatyczna demokrytyzacja kultury musi pociągać za sobą obniżenie jej poziomu. Produkcja masowa w uproszczonych i skróconych formach musi prowadzić do stereotypizacji, która jest zaprzeczeniem rozwoju kulturalnego. Uniknąć tego można tylko przez jakieś głębsze związanie z problematyką czasu, trafiając do ludzi nie przy pomocy uproszczonej i zbanalizowanej formy ale przez poruszenie spraw i uczuć wspólnych ogromnej większości już nie jednego społeczeństwa, ale społeczeństw świata, które razem przeżyły i przewalczyły tę wojnę, wiele tracąc i wiele zyskując.

Te i podobne problemy rozwiązuje, albo usiłuje rozwiązać co dzień polska inteligencja. Ludzie przez swój rozwój intelektualny i kulturalny oderwani od nienaturalnie zacofanej reszty społeczeństwa muszą znaleźć jakąś drogę w głąb, jakiś sposób porozumienia, jakiś wspólny język. I to nie przychodzi łatwo. Rozwiązanie wielu problemów czasami jeszcze ciągle waha się pomiędzy krańcowym elitaryzmem, a wulgaryzacją. Ale jedno jest pewne: inteligencja polska przestała być tęskniącą nacją i ginącą klasą oderwaną od rzeczywistości, której nie umiała zrozumieć i nie potrafiła opanować. W Polsce zrozumiano, że inteligencja jest tylko pod pewnymi względami lepiej rozwiniętą częścią społeczeństwa w którym żyje, że powinna ulepszać, formułować jego problematykę. Jeżeli nawet jest elitą, to tylko pod tym warunkiem, że w sposób najbardziej doskonały wyraża myśli i uczucia swego społeczeństwa i że dostęp do niej jest zawsze dla wszystkich otwarty.

Inteligencja stała wreszcie przed szeregiem konkretnych problemów których rozstrzygnięcie znaczyć się będzie wyraźnie w rzeczywistości, nie tylko zmniejszającym się analfabetyzmem, ale wzrostem zapotrzebowania na Mickiewicza i Słowackiego. Na zakończenie można się powołać na Marksa: Intelktualiści i artyści przestali tylko interpretować świat, ale zaczęli go także zmieniać.

I to jest może najgłębiej sięgająca rewolucja.

KRZYSZTOF RADZIWIŁŁ

W OCZACH LONDYNU

Bardzo dziwnym dla każdego kto zajmował się polską polityką przed 1939 rokiem jest pomieszanie dziś w jedno pojęcie dwóch tak różnie brzmiących słów jak sanacja i endecja. A tymczasem używa się ich dzisiaj, jak gdyby oba te słowa oznaczały to samo. Pomieszanie tych dwóch pojęć to nie błąd myślowy, ale słuszne uproszczenie sobie zadania, jeżeli chcemy wyciągnąć wspólny wniosek z błędów popełnionych zarówno przez piłsudczyków jak i endeków.

Jest powiedzenie, że każdy mistrz mówi głupstwa przez usta swych uczniów, ale w tym wypadku nie można tego stosować. Błędy piłsudczyków i endeków, które doprowadziły ich do dzisiejszej symbiozy leżą daleko głębiej, po prostu wynikają one z kompromisu zawartego pomiędzy tym wszystkim, w czym nie mieli racji i Piłsudski i Dmowski. Obaj mylili się bowiem w jednej i tej samej rzeczy, którą dzisiaj apoteozują ich pogrobownicy. Obaj, choć różnymi drogami, stawiali oni na ten sam polski nacjonalizm. A tymczasem to co dzisiaj widzimy na świecie to właśnie wielkie podsumowanie rachunku nacjonalizmów w ogóle, które doprowadziły dzisiejszy kontynent europejski do stanu miazgi i pobojuwiska. Aforyzm włoskiego polityka o Piłsudskim, że był on dyktatorem anachronizmu może być w trochę innej formie sparafrazowany i o Dmowskim, który podświadomie, pomimo swej parlamentarnej demokracji stał się niedoszłym dyktatorem nienarodzonego nigdy polskiego faszystwu.

Ze zrozumiałych powodów dziejowych, a więc przede wszystkim ekonomicznych Polska, zarówno w 1914 jak i w 1939, była opóźniona w rozwoju w stosunku do innych państw, i to zarówno do starej Europy jak i do Rosji. Pojęcia patriotyzmu niepodległościowego obowiązywały nadal, ale straciły dynamizm rewolucyjny, który im towarzyszył przez cały wiek XIX-. Wtedy to pojęcia „Polak” i „rewolucjonista” były nieomal równoznacznymi synonimami. Z tego okresu nie uratowano dla nowego państwa, powstałego po pierwszej wojnie światowej prawie niczego.

Przyczyną tego są błędy, popełnione w swoim czasie zarówno przez Piłsudskiego jak i przez Dmowskiego, które po ich śmierci pozostały jako wspólne dziedzictwo ich epigonom, których nazywamy dzisiaj raz sanacją, raz znowu endecją. Na czym te błędy polegały?

Otóż, przede wszystkim na anachronizmie obu tych szkół politycznych, które doprowadziły do dwóch ślepych torów polskiego faszyzmu — do taktyki faszystowskiej bez żadnej ideologii t.zw. pułkowników, i do mrzonek ideologicznych bez możliwości zastosowania ich w życiu u młodzieży oeneru przeróżnego autoramentu. Idea federalizmu jagiellońskiego była u Piłsudskiego błędem zasadniczym, bo była to próba cofnięcia koła historii aż do XVI wieku, a historia cofać się nie da nigdy. Idea przekształcenia patriotyzmu polskiego w egoizm narodowy na wzór pruski była u Dmowskiego próbą, która — jeżeliby się udała — musiałaby nas zaprowadzić na ławę oskarżonych w Norymberdze, tam gdzie zasiadają słusznie jedyni konsekwentni ad absurdum nacjonałiści świata. Tymczasem już nie jagiellońską a rewolucyjną federację swoich narodów przeprowadził Związek Radziecki, a jednolitość narodościowa Polski — zasadniczy postulat Dmowskiego — została osiągnięta nie przez polski faszyzm, a przez oskarżaną zawsze o międzynarodowość lewicę polską. Natomiast ludzie, którzy uważali się zawsze za stronników federalizmu, czy to typu jagiellońskiego, czy potem — antyrosyjskiego „cordon sanitaire”, który miał wskrziesić coś w rodzaju dawnych Austro-Węgier, nie zrozumieli, że federalizm nie da pogodzić się z szowinistycznym kultem własnej suwerenności. Uczniowie Dmowskiego, pragnący etnograficznie jednolitej Polski wspólnie z piłsudczykami oburzają się dzisiaj na nową Polskę, która narodowo jest chyba jednolitą jak nie marzyło się to najbardziej entuzjastycznemu endekowi. W dzisiejszych czasach często narzeka się, że obecne pokolenie nie ma wielkich ludzi, — oczywiście, nieszczęściem Polski roku 1918 było, że zarówno — Piłsudski jak i Dmowski — byli w chwili odzyskania niepodległości już za starzy i nie pojęli ówczesnej chwili dziejowej. Rzeczywiście, wówczas zdawać się mogło, że po programie ogłoszonym przez Prezydenta Wilsona nastąpi okres rozwoju nacjonalizmów w Europie. A tymczasem próba urządzenia świata, jako mozaiki państwów narodowych, zapoczątkowana w pokoju wersalskim doprowadziła gospodarkę światową do takiego stanu anarchii, że druga wojna światowa stała się nieunikniona.

To co widzimy dzisiaj, iż suwerenność staje się pojęciem równie anachronicznym jak prawo do trzymania wojsk prywatnych w czasach feudalizmu, było już prawdą w 1918 roku. Ale stało się inaczej i za to niezrozumienie rzeczywistości międzynarodowej ludzkość zapłaciła drugą wojną światową. Dowodem tego jest, że dwa zbiorowiska ponadnarodowe, które zrozumiały to najwcześniej wyszły z tej drugiej wojny najbardziej wzmocnione, Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki, jako konglomeraty zbudowane na współzależności ekonomicznej i społecznej, a nie na żadnych racjach stanu, misjach dziejowych czy też narodowych honorach. Mackiewicz „Historię Polską 1918-1939” kończy aforyzmem: „Polska jest krajem bohaterskich dzieci”, Matuszewski w „Ostrzeżeniach spod Ziemi” wtóruje mu mówiąc, że „bohaterstwem narodu jest poświęcenie teraźniejszości dla przyszłości”. Tak nie można. Polska nie może zostać zawsze męczeńskim krajem bohaterskich dzieci, a musi zostać krajem szczęśliwych robotników, chłopów i inteligentów. Przyszłość nie będzie nigdy czym innym jak logicznym ciągiem dalszym teraźniejszości, a wcale niekoniecznie jej antytezą. Jeżeli Europa, do której wszyscy należyć chcemy, pomału przełamuje w sobie zabobon nacjonalizmu, który Niemcy jak we wszystkim przesadni, doprowadzili do karykatury rasizmu, to i Polska powinna znaleźć miejsce dla swoich dwudziestu milionów ludzi, wśród innych ludzi europejskiego kontynentu. Nie chodzi przy tym bynajmniej o wyrzekanie się form narodowych, bez których życie ludzkie szarżeje i ubożeje. Chodzi o to

aby Polska, tym razem już bez wielkich ludzi, ale ta zwykła i codzienna nie stała się współwinnym pogrobowcem faszyzmu, którego właściwie nigdy nie miała, a po prostu aby zajęła należne jej miejsce przy wielkim warsztacie produkcyjnym jakim będzie na długie lata Europa, jeżeli w ogóle chce przetrwać jako pojęcie nie tylko geograficzne. Niemcy przegrały tę wojnę, bo głosiły fałszywą zasadę, że armaty są ważniejsze niż masło, a cóż dopiero mówić o Polsce która — jak pisał to w połowie XIX wieku Słowacki w swym liście do emigracji — ideał swój widziała w kształcie kolorowego łań. Łań pod Samosierrą mógł jeszcze ostatecznie szarżować na armaty, — ale na tanki i samoloty okazał się stanowczo zbyt kolorowym. Podświadomie ideał polski dla tych, których nazywamy dzisiaj endecją lub sanacją przedstawia się, niestety, w podobny sposób. O ileż bardziej prawdziwym jest jednak dzisiaj inny symbol — już nie wojownika a po prostu robotnika polskiego, który uruchamia zniszczone przez Niemców wodociągi w zburzonej Warszawie. Tego nie pojmą nigdy ludzie Piłsudskiego, pomimo t.zw. radosnej twórczości, która nie mogła być prawdziwie radosną, gdyż zbudowana była na niedemokratycznej zasadzie: „Budujemy mosty dla Pana Starosty”, ani tym mniej korporanci Dmowskiego, którzy w ogóle nic nie budowali. Tym mniej nie mogą oni tego zrozumieć, kiedy połączył ich ze sobą kompromis spowodowany wspólną samoobroną przed napierającą ze wszech stron na nich prawdziwą rzeczywistością. Tutaj chciałbym wtrącić stwierdzenie jednej często niedostrzeganej, a jakże zasadniczej różnicy między dwoma tak różnymi pojęciami jak synteza i kompromis. Synteza to stworzenie jakiejś hierarchicznie wyższej prawdy z połączenia dwóch różnych prawd, kompromis — to po prostu znalezienie jakiejś pośredniej drogi pomiędzy dwiema prawdami, a więc znajdującej się zawsze poza obrębem tych prawd jako takich. I Piłsudski i Dmowski na swój sposób chcieli dobrze. To co nazywamy dzisiaj endecją lub sanacją jest nie syntezą dążeń Piłsudskiego i Dmowskiego a po prostu tylko kompromisem umożliwionym właśnie przez błędy popełnione przez obu tych tragicznych Polaków. Zgoda Anglosasów ze Słowianami, która doprowadziła do zwycięstwa nad Niemcami polegała na tym, że łączyła ich wiara w przyszłość. Epigonów endecji i sanacji łączy ich żal za bezpowrotnie minioną przeszłością i wynikający stąd beznadziejny anachronizm.

Polska zbyt wiele ucierpiąca już przez to, iż była w pochodzie ludzkości do postępu, od czasu utraty niepodległości, zawsze opóźniona o jakieś pół wieku przynajmniej. Ekonomiczne opóźnienie zaczęło się o wiele wcześniej. Dzisiaj Polska nie może czekać, ażeby znów jak to było z podpisem pod wielką ponadnarodową konstytucję narodów zjednoczonych w San Francisco, podpisać jako ostatnia to co jest wynikiem wojny, która się na polskiej ziemi rozpoczęła. Na to trzeba przestać być bohaterkami, zadąsanymi dziećmi i nie poświęcać teraźniejszości dla przyszłości, a po męsku budować przyszłość na teraźniejszości, to znaczy na twórczej zgodzie Słowian i Anglosasów, którzy wspólnie wygrali tę wojnę i tylko wspólnie potrafią wygrać pokój. Polska w tej zgodzie powinna nie przeszkadzać, a pomagać. Inaczej — choć walczyliśmy najdłużej przeciwko hitleryzmowi, słusznie staniemy w oczach świata, pomimo naszego bohaterstwa i męczeństwa w jednym rzędzie z tymi, którzy wojnę tę spowodowali. A tego nie życzy sobie dla Polski chyba żaden najbardziej nacjonalistyczny patriota. Modlitwę Mickiewicza o wojnę powszechną wytworzyła umęczona dusza XIX-to wiecznej Polski. Ale o ileż bardziej aktualnymi są słowa suplikacji: „Od głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Panie”. Te słowa wydają się chyba najbardziej polskie.

BEZ PATOSU

Fragmety przecierającej oczy twórczości Krajowej, dochodzące za granicę tkwią nadal w opisach czasów ostatnio przeżytych. Czytelnicy na to narzekają pragnąc czegoś innego, lecz pisarze uczynić zadość temu życzeniu nie mogą. Nie, że nie chcą, lecz nie mogą. Przytrzymuje ich balast wspomnień nie dający odejść. Jedni w przeżytych faktach widzą zewnętrzną okropność, drudzy oglądają samych siebie, jeszcze inni doszukują się sensu zdarzeń, wszyscy jednako pochylać się będą nad studnią świeżej przeszłości, czerpiąc z niej dopóki nie sięgną do dna.

(Co prawda cóż im innego pozostaje? W przededniu bomby atomowej pisarz może tylko szukać człowieka, lub Boga. Człowieka który chce wygubić sam siebie, Boga, który jedyny może go od tego powstrzymać. Otóż i Bóg i człowiek ujawniają się i zarysowują najwyraźniej na tle grozy.)

Grzebanie się w tych przeżyciach powoduje jednak efekt zupełnie niezamierzony. Ponieważ każdy mimo woli opisuje to, co zrobiło na nim największe wrażenie, czyli rzeczy „mocne”, czytelnik emigracyjny wyobraża sobie, iż polski świat podziemny składał się wyłącznie z bohaterów, zachowujących koturny zawsze, nawet we śnie, jak Mohort króciąc, karmiących się wzniosłością i przez sześć lat bez przerwy przemawiających stylem rzymskim w interpretacji Corneille'a. Podobne wrażenie jest przerażające, czyni świat podziemny sztucznym i obcym. Należy je co szybciej rozwiać, uspakajając rodaków, że podziemniacy byli całkiem zwyczajnymi ludźmi, dalekimi od wzniosłości. Nie oni obuwali koturny. Podstawiała je im rzeczywistość, którą kiedyś nazwą historią. Ona twardym batem zaganiała do czynów niecodziennych czyniąc z każdego człowieka bohatera mimo woli. *Nie było wyboru*. Tertium non datur. Należało być herosem, albo nikczemnikiem. Więc z dwojga złego...

Ilekoć owa surowa mistrzyni — rzeczywistość, spuszczała swą ofiarę na moment z oczu, wracało życie. Nieubłagane, potężne, silniejsze nad wszystko. Życie zaś, to nie patos, ani koturn, wręcz przeciwnie. To uśmiech lub śmiech przeplatany łzami, to potrzeby naturalne, to strach, czułość, gniew, ambicją, próżność, katar, dziurawe buty, marzenie o czystej pościeli, marzenie o wyspaniu się, o zjedzeniu kawałka mięsa. Marzenie o chłopcu, o dziewczynie... Wiosna kwitła dla młodych w czasie okupacji, równie jak w czasach szczęśliwych, nie znających godziny policyjnej i egzekucji ulicznych.

Poza tym, człowiek ma taką naturę, że oswaja się z niebezpieczeństwem. Przywyka doń, podobnie jak można przywyknąć do pluskiew, braku ciepłej kąpielii, do drewniaków... Z chwilą przyzwyczajenia, bohater znika. Miarą bohaterstwa jest zawsze tylko siła opanowanego strachu, nic więcej. Więc skoro strachu nie ma, nie ma bohaterstwa.

Filister, kołtun (według dawnej terminologii), zasypiający smacznie na materacu wypchanym bibułą, nie był bohaterem, lecz człowiekiem żyjącym w nieco dziwnych warunkach, które już na nim nie robią wrażenia. Ani była bohaterką matka rozważająca gdy syn spóźnił się na obiad: Ciekawam czy go złapali, czy też zagadał się z kolegami?... Przyzwyczajenie dyktowało wiele czynów pozornie nadludzkich, albo bezsensownych. W czerwcu 43 roku, w epoce najsroźszego terroru, na ul. Brackiej pod Nr. 9 odegrano szopkę polityczną, którą oglądał i oklaskiwał tłum ludzi. Juźci zagrożenie było maksymalne dla widzów, aktorów, mieszkańców kamienicy, ba, całej ulicy. Zbrodnicza lekkomyślność, jak się oburzali niekotrzy? Bynajmniej. Z nawyku niebezpieczeństwo przestało istnieć, a potrzeba śmiechu została. Więc każdy uważał, że warto narażać życie by zobaczyć szopkę.

Spójrz, oto idzie najpopularniejsza postać konspiracji: łączniczka, czy

kolporterka. Ma 17, może 19 lat. Wielka torba z papierowego sznurka pęka od nadmiaru bibuły. Na wierzchu, dla niepoznaki, kilka marchewek i pęczek szczypiorku symulują niewinne zakupy świeżo dokonane na targu. Na rogach ulic stoją posterunki rewidując każdą paczkę. Dziewczyna kilkakrotnie otrze się o śmierć. Dziewczyna musi przejść obok Niemca krokiem tak swobodnym, spojrzeć mu w oczy tak pewnie, a zarazem zalotnie, podać do rewizji torbę gestem tak spokojnym i naturalnym, żeby Szkop machnąwszy lekceważąco ręką puścił ją bez sprawdzania zawartości. Ta scena powtórzy się znowu i znowu... Czytelniku, myślisz z dreszczem: bohaterka!... No, pewnie, pewnie... Można jednak ręczyć, że ona się bohaterką nie czuje. W głowie jej ćwierkają wróble, pachnie wiosną. Myśli skaczą z przedmiotu na przedmiot, jak zwyczajnie u młodej kozy. O, tamten przeszedł co wczoraj czekał na tym samym rogu... Zdaje się, że to kolporter z Pobudki... Przyjemnie wygląda... Ciastka na wystawie... Ach, jakbym zjadła ciastko!... Z kremem! Ale teraz nie ma kremu... Wczoraj na Marszałkowskiej były podobno jakieś materiały... Moja sukienka już się zupełnie rozłazi... Chciałabym w kropki... Uwaga! Tam stoi Szkop... Czy przejść na drugą stronę ulicy? Nie, to gorzej... Zauważ, że przesłałam... Lepiej wprost... Zdaje się że tamten chłopak to nie był z Pobudki, tylko z Konfederacji Narodu...

* * *

Praca świata podziemnego zależała w wielkiej mierze od spotkań i kontaktów. Droga osobistego porozumienia była najpewniejsza. Do spotkań trzeba było mieszkań niepodejrzanych, nie śledzonych, których gospodarstwo udzielały, służąc w ten sposób Sprawie. Ulice nazywały się w gwarze podziemnej inaczej, przy czym każda organizacja posiadała swój własny szyfr. Niektóre opierały się na przedwojennym planie Warszawy wydanym przez Orbis. W indeksie ulice były opatrzone numerami. Do odnośnej cyfry dodawało się dziesięć, lub odejmowało pięć, zależnie od umowy. Inni zmieniali nazwy drogą asociacji. A więc Czackiego zwała się Licealną, Traugutta — Dyktatorską, Hoża — Czerstwą i tp. Numery domów też były zmieniane. Na przykład numer bramy czytało się na odwrot, a do numeru mieszkania dodawało się trzy. Nie dosyć na tym. Po zapukaniu w sposób umówiony należało podać hasło, inne dla każdego lokalu. Łącznicze nie wolno było nic notować. Musiała z głowy pamiętać, gdzie obowiązuje jaki szyfr i co winna czytać wprost, co na wspak, gdzie ma dodać, gdzie ująć, gdzie oznajmić, że „Doktor przyjdzie jutro do pana Ludwika”, kogo poinformować, że „nie udało się kupno kota siamskiego”, a komu krzyknąć, że „bociany przyleciały!” Ze już je widziano na Pradze! By to wszystko zapamiętać, nie poplątać, trzeba było niezwykłych zdolności. Toteż dziewczęta zapominały, myliły się; wychodziły stąd awantury tragiczne lub groteskowe, jak słynna historia lokalu, z którego po piątym czy szóstym zapytaniu o karbid, wyskoczył gospodarz wściekły: Karbidu nie ma! Ja jestem volksdeutsch, a wasze zebranie konspiracyjne jest o piętro niżej!!!...

W pewnym domu na piętrze był punkt, a na dole zaprzyjaźniony sklep z różną komisową tandetą. Właściciel sklepu wieszał po środku wystawy koszyczek, zielony jeźeli było przypuszczenie, że dom jest obserwowany, niebieski gdy wszystko było w porządku. Przychodzące na punkt konspiracyjny przed wejściem w bramę zerkają na wystawę i uspokojone wchodziły, względnie wiały jak najdalej, puszczając w obieg wiadomość, że ulica Czartoryskich (Puławska) jest zagazowana.

Kiedyś na punkcie przez tydzień nikt się nie pojawia. Cała Warszawa podziemna wie, że w oknie zielony koszyczek. Martwa cisza. Właściciel punktu dorozumiewa się, że jego znajomi wpadli, przeto znika również. Cicho, glucho. Konspiracyjny pytają jedni drugich: Nie wiecie, czy Szkopy już tam były?... Nie, widocznie obserwują. Na koniec ktoś odważny

idzie do sklepika mimo zielonego sygnału. Wchodzi i oczy przeciera: koszyczek *niebieski*! Cały czas wisi niebieski — zapewnia gospodarz. Więc poczta konspiracyjna dostaje meldunek, że lokal nie jest „spalony”. Już nazajutrz biegną kolporterki po opóźnioną bibułę i stają jak wryte: koszyczek zielony! Biada!

To właściciel sklepu, niepomny na prawa barw, zasłonił szybę żółtym celofanem...

Wszelkie zebrania były przez Niemców surowo wzbronione. By zmniejszyć odpowiedzialność gospodarstwa w razie wyspy symulowano czyjeś imieniny, urodziny, rocznicę ślubu... Rozłożone karty bridżowe (ale kart była tylko jedna talia) niby przyjęcie... Jakież imieniny bez bridża i herbatki? Stały zatem kubki z naparem marchwi, głogu, mięty, lipy, czy innej „lipy” udającej herbatę, oraz... ciasto. Piernik lub placek p r a w d z i w y, pokrajany w cieniusieńkie plasterki, ułożone wieńcem na talerzyku tak, by zajmowały jak najwięcej miejsca. Tej szacownej dekoracji wystarczającej na jeden ząb, nie należało likwidować od razu, dopiero na końcu zebrania. Tego wymagał *savoir vivre* konspiracyjny. A że łatwiej jest oswoić się z niebezpieczeństwem, niż z głodem (to wydaje się dziwne, a jednak tak jest) i głód pozostaje zawsze równie dokuczliwy, ten szczegół miał swe znaczenie.

Oto zebranie bardzo elitarne. Szefy, szarże, „czynniki miarodajne”. Z boku sakramentalna talia kart, na stole herbata i talerzyk z plackiem. Toczą się ważne, śmiertelnie ważne narady. Od ich wyniku zależy życie niejednego człowieka. Wszyscy aż dygoczą z przejęcia. Nagle — słychać nadjeżdżające auto, które zatrzymuje się nie opodal domu... Oni!... Wywiedzieli się kto tu i nad czym radzi...

Szef bezpieczeństwa grupy gasi światło, by móc uchylić zasłony i wyjrzeć przez okno. Inni usiłują bezszelestnie zebrać papiery ze stołu. Szczękają odbezpieczane rewolwery. Minuty mijają w napięciu. Lecz alarm okazuje się fałszywy. Nikt nie wchodzi do domu, szofer zapuszcza motor i odjeżdża. To nie było Gestapo.

Z ulgą ktoś zapala światło. Chóralny wybuch śmiechu: na talerzu ani kawałeczka placka...

* * *

O nad pojęcie okrutne, bolesne, a zarazem piękne i radosne lata konspiracji! W swej ciemni byliście tak przejrzyste, nieskomplikowane! Wszystko zdawało się proste, nawet łamigłówki ulic, i zdążające ku najświetniejszej nadziei. Ta nadzieja ozlacała każdy dzień. Więc mrok stawał się jasnością.

BOLESŁAW SKARŻYŃSKI

MOTYWY POLSKIE W PIŚMIENNICTWIE SZWEDZKIM W CZASIE WOJNY

Zawsze interesowało nas to, co na nasz temat piszą obcy i do dziś dnia stale spotyka się na łamach naszych periodyków mniej lub bardziej sumienną rejestrację zainteresowania piśmiennictwa obcego motywami polskimi. Pochlebiamy nam znajomość naszych problemów u jednych pisarzy, drażni ignorancja w sprawach polskich u innych, ale zawsze na te obce głosy o Polsce

jesteśmy dosyć wrażliwi. Siłą rzeczy, uwaga nasza jest skierowana głównie na piśmiennictwo narodów większych, których język jest łatwiej dostępny Polakowi i które zaznaczają się wybitniej w kulturze światowej. Mniej natomiast znane są wśród nas oddźwięki spraw naszych w beletrystyce lub literaturze fachowej narodów mniejszych. I tak np., zarówno przed wojną jak i pod-

czas wojny tylko nielicznym było wiadomym, że motywy polskie nie- rzadko były poruszane w piśmien- nictwie szwedzkim i że ten mały naród, zdający się pozostawać na uboczu wielkich dróg kultury europejskiej, nie małym darzył nas zainteresowaniem. Stanowczo Szwedzi interesowali się nami więcej i znali nas lepiej aniżeli my znaliśmy ich kraj i kulturę. Nie chcę tym samym twierdzić, że ta znajomość spraw polskich była szczególnie roz- ległą i gruntowną i że motywy polskie były w beletrystyce szwedz- kiej czymś szczególnie częstym, ale jeżeli weźmiemy pod uwagę to, jak zupełnie nieznaną była Szwecja wśród nas, to oddźwięki Polski w Szwecji mogą przez porównanie wydać się względnie znacznymi. Polonica w literaturze szwedzkiej zasługiwałaby stanowczo na po- ważniejsze opracowanie przez spe- cjalistów, a nagromadziła się ich spora garstka w okresie naszej dwudziestoletniej niepodległości. Bardziej aktualnymi w chwili obec- nej są oddźwięki Polski w piśmien- nictwie szwedzkim z okresu wojny. Ani ilościowo ani pod względem jakościowym to traktowanie mo- tywów i spraw polskich w litera- turze szwedzkiej ostatnich kilku lat nie przedstawia się zasobnie, ale do pewnego stopnia odzwiercied- la ono nastawienie Szwedów do naszych zagadnień i fluktuację na- strojów, spowodowaną ogólną sy- tuacją polityczną oraz uwydatnia kilka postaci piśmiennictwa szwedz- kiego, nieznanych na ogół u nas a zasługujących na poznanie.

Kampania wrześniowa w Polsce spowodowała pojawienie się w pra- sie szwedzkiej dosyć licznych pom- niejszych artykułów o Polsce, po- siadających charakter czysto in- formacyjny i nie dotykających po- ważniej kulturalnych lub politycz- nych zagadnień. Pojawiło się rów- nież trochę korespondencji wojen- nych, pióra dziennikarzy szwedzkich przeżywających kampanię po pol- skiej stronie frontu, oddających hołd postawie społeczeństwa i nie bez złośliwości opisujących chaos na wyższych szczeblach administracji

oraz wojskowości polskiej... Jeden z korespondentów, *W. Siemczow*, zebrał później swe reportaże w for- mie książkowej, p.t. „Kraj, który zniknął”. Do pewnego stopnia reportażowo-informacyjny charakter posiadała również wydana w zimie 1939-40 pod redakcją *K. O. Hed- stroma* zbiorowa obszerna praca, zatytułowana „Czwarty rozbiór Pol- ski”, w której oprócz rozdziałów poświęconych wojnie, znalazł się także obszerny ustęp traktujący historię Polski, zaopatrzone tytułem „Ptak Feniks”. Ton głosów prasy szwedzkiej z okresu kampanii wrześ- niowej i bezpośrednio po jej za- kończeniu był na ogół dla Polski bardzo życzliwy. Szczególnie cier- pieniu ludności cywilnej znajdowały żywy oddźwięk, jej postawa budziła podziw, ale szybki przebieg walk, prowadzący do niespodziewanie rychłego tragicznego końca, za- skoczył i do pewnego stopnia za- straszyl opinię szwedzką. Nie ro- biono sobie zbyt świetnych nadziei co do przyszłych losów Polski. Z początkiem października 1939, w kilku dużych dziennikach ukazał się na czołowych miejscach przedruk pięknego wiersza *C. Snoilskyego*, jednego z najznakomitszych liryków szwedzkich ubiegłego stulecia, na- pisanego po upadku powstania 1863 r. a zatytułowanego „Na grób Polski”.

W publicystyce szwedzkiej za- panowało dziwne milczenie na temat Polski. Do Szwecji docierały wieści o terrorze niemieckim w Polsce, ale albo nie wierzono im albo też nie chciano publicznie tych spraw po- ruszać. Milczenie to było tak zna- miennym, że w marcu 1940, jeden z wybitnych poetów szwedzkich, zmarły wkrótce potem *Eryk Lin- dorm*, zamieścił na łamach jednego z najpoczytniejszych tygodników piękny artykuł, piętnujący ostro trwożliwość opinii szwedzkiej i jej bierność wobec zagadnień polskich. Ale w kilka tygodni potem Niemcy najechali Danię i Norwegię, Szwedzi musieli zająć się bardziej bliskimi im problemami a upadek Francji do tego stopnia podzielał na nastroje szwedzkie, że jakiegokolwiek poru-

szanie publiczne spraw polskich uważane było za źródło niebezpieczeństwa dla Szwecji. Dopiero z początkiem roku 1941 ukazała się duża nowela, pióra jednego z czołowych pisarzy szwedzkich, *Fryderyka Bööka*, która ze względu na osobę autora i zawartą w niej tendencję, musi nas bardziej zainteresować.

Nowela ta, zatytułowana „Hamlet w Polsce”, drukowana była naprzód w odcinkach poczytnego tygodnika szwedzkiego, potem ukazała się w wydaniu książkowym, w zbiorze p.t. „Tancerka z Aleppo”. Autor jest profesorem historii literatury na uniwersytecie w Lund, członkiem Szwedzkiej Akademii czyli jednym z dwunastu szwedzkich „nieśmiertelnych”, doskonałym krytykiem literackim, essay’istą i publicystą. Rozgłoś zdobył sobie jeszcze przed pierwszą wojną światową dzięki namiętej polemice ze Strindbergiem, i poza mniej lub bardziej ściśle naukową produkcją, zajmuje się z pewnym powodzeniem twórczością beletrystyczną. Zna dobrze literaturę i kulturę polską, swymi studiami krytycznymi wprowadził do Szwecji „Chłopów” Reymonta i jako członek Szwedzkiej Akademii walczył przyczynił się do przyznania Reymontowi nagrody Nobla. Olbrzymie uznanie dla kultury polskiej łączy Böök z wybitnie niechętnym nastawieniem do młodej państwowości polskiej i nastawieniu temu niejednokrotnie dawał wyraz, szczególnie w swych opisach podróży po Polsce. W latach poprzedzających wojnę, coraz wybitniej ujawniał swe gorące uznanie dla Niemiec hitlerowskich i dla niemieckiego totalitaryzmu, a wreszcie w r. 1940, w swej mowie na otwarciu roku uniwersyteckiego w Lund, wypowiedział się za przystąpieniem Szwecji do nowej Europy, zorganizowanej pod egidą Niemiec, wzbudzając tym nader burzliwą dyskusję w prasie szwedzkiej.

Utwór Bööka ma formę opowiadania inżyniera szwedzkiego, który spędza pewien czas w Poznańskim, w pierwszych latach naszej niepodległości, jako fachowy doradca

w przemyśle cukrowniczym. Od pierwszej chwili przekroczenia granicy między Gdańskiem a Polską, Szwed spotyka się na każdym kroku z objawami niezaradności, braku organizacji, lenistwa i nieuczciwości w drobnostkach. Z uznaniem i podziwem podnosi wyrafinowaną kulturę sfer zamożnych i inteligencji, w jaskrawy sposób maluje jednak równocześnie chorobliwą megalomanię narodową. Wyraża troskę o los wysokiego poziomu gospodarki społecznej, osiągniętego dzięki Niemcom a zagrożonego polską dezorganizacją. Bohaterem noweli, owym „Hamletem w Polsce”, jest syn bogatego właściciela ziemskiego, szczerzy Polak, wychowany pod wpływem kultury niemieckiej, oficer armii niemieckiej podczas wojny światowej. Rodzina i jego otoczenie jest zdecydowanie antyniemieckim i dąży wszelkimi siłami do wytworzenia muru między Niemcami a Polską, podczas gdy on sam obawia się, że odcięcie się Polski od Niemiec jest równoznaczne z odpadnięciem od kultury zachodniej i stanowi groźne dla Polski niebezpieczeństwo. Wewnętrzna walka między skłonnościami bohatera i nastrojem jego otoczenia, któremu ulega, ma być w zrozumieniu Bööka owym hamletowskim problemem, przy czym autor nie ukrywa, jaką jego zdaniem powinna być decyzja bohatera. Jak już zaznaczono powyżej, „Hamlet w Polsce” drukowany był w bardzo poczytnym tygodniku, co łącznie z nazwiskiem autora przyczyniło się nie mało do wtłoczenia w umysły wielu Szwedów tak postawionego problemu. Piszący te słowa miał wielokrotnie możliwość dyskusowania z inteligentnymi Szwedami, pytającymi się ze zdziwieniem o to, czy rzeczywiście Polacy mogli zastanawiać się nad takim dylematem.

Jedno z czołowych miejsc we współczesnej beletrystyce szwedzkiej wciąż jeszcze zajmuje dziś już siedemdziesięcioletnia *Marika Stjernstedt*. W bogatej swej produkcji powieściopisarskiej odtwarza ona przede wszystkim życie warstwy szlacheckiej i zamożnego miesz-

czajstwa szwedzkiego i jakkolwiek niezawsze utrzymuje się na wysokim, artystycznym poziomie, cieszy się w swej ojczyźnie wielkim uznaniem i popularnością, nas zaś musi interesować przede wszystkim z powodu swej łączności z Polską. Marika Stjernstedt jest bowiem pięćdziesięcioprocentową Polką. Matka jej, Ciechanowiecka z domu, żona generała szwedzkiego, od dziecka wpajała w nią zainteresowanie Polską i jakkolwiek Marika Stjernstedt nie zna języka polskiego, w wywiadach prasowych i wystąpieniach publicznych zawsze podkreśla, że ma dwie ojczyzny — Szwecję i Polskę. Jako młoda dziewczyna odwiedzała rodzinę swej matki, ziemiaństwo na Białorusi, co dało jej pewien jednostronny obraz Polski, widziany przez pryzmat zamkniętego domu kresowego. Jedną z jej wcześniejszych powieści, wydana w r. 1905 p.t. „Serce Janiny”, rozgrywa się właśnie w takim pol-

skim środowisku na kresach, poza tym tematy polskie poruszała kilkakrotnie w swych drobniejszych nowelach. W r. 1943 wydała powieść „Zamach w Paryżu”, będącą jednym z literackich przebojów szwedzkiego czasu wojny, przerobioną zresztą potem na film i na sztukę dramatyczną. Akcja powieści rozgrywa się w Paryżu podczas okupacji niemieckiej a osiągnięciem akcji jest zastrzelenie oficera niemieckiego na dworcu kolei podziemnej. Wśród występujących w powieści działaczy frontu podziemnego musi nas zainteresować postać Polaka, malarza i oficera Szczyta. Pod piórem Mariki Stjernstedt Szczyt staje się symbolem bohaterstwa polskiego i nieustannej walki przeciw Niemcom. W usta jego wkłada autorka mocny opis Polski w czasie katastrofy wrześniowej i obraz tragedii ludności cywilnej a w opowiadanie jego wplata duży ustęp z „Farysa”. *d. c. n.*

PRZEGLĄD KSIĄŻEK I WYDAWNICTW

Ze względu na fakt, iż połowa nakładu naszego miesięcznika przesyłana jest do Polski roz poczynamy w niniejszym numerze dział sprawozdawczy z książek i wydawnictw zagranicznych w celu informowania naszych czytelników w Kraju.

I. TEOLOGIA I FILOZOFIA

Archibald Robertson.

Biblia i jej tło.

The Bible and its Background.

Londyn 1942, II tomy, Watts.

Oba tomy liczące po sto dwadzieścia stron zawierają skondensowaną wiedzę na temat Starego i Nowego Testamentu, przedstawione przez racjonalistycznego uczonego, który krytykę tekstów biblijnych pojmuje tylko od strony historycznej, filologicznej i społecznej. Jest to niewątpliwie jedno z najwybitniejszych dzieł jakie ostatnio w tym zakresie wydano, nie mające nic wspólnego z teologią i religijnym poglądem na Pismo św., choć z drugiej strony w niczym bezpośrednio nie dotykające uczuć religijnych, mimo iż ukazało się w „Bibliotece Myśliciela”, będącej seryjnym wydawnictwem o niewątpliwie antyreligijnym nastawieniu.

Robertson jest przede wszystkim filologiem i historykiem który stara się obiektywnie wytłumaczyć znaczenie ksiąg Starego i Nowego Testamentu na tle zjawisk politycznych i społecznych żydostwa i świata starożytnego. Jego dążność do obiektywizmu czyni książkę w wielu miejscach przekonywującą, choć daje się zauważyć tu i ówdzie wpływ metody dialektycznej. Wykład Robertsona jest trudny, wymaga równoczesnego czytania Biblii ale rozświetla niewątpliwie bardzo wiele.

Z dzieła wynika jedna niezmienna konkluzja. Walka narodowa jaką przyszło toczyć żydostwu w starożytności na przestrzeni 1 tysiąclecia przed Chrystusem, a także i później w dobie wczesnego chrześcijaństwa, prawa społeczne, namiętności, ekspansje przypominają dobę dzisiejszą i życie rozmaitych społeczeństw i narodów w Europie.

Georg Santayana

Egotyzm w filozofii niemieckiej.
Egotism in German Philosophy.
Nowy Jork 1940, Scribner.

Słynny filozof amerykański przygotował przed samą wojną w roku 1939 drugie wydanie swej książki charakteryzującej filozofię niemiecką. Dowodzi w niej że egotyzm myślenia istnieje w całej niemal filozofii niemieckiej doprowadzając do rezultatów hitlerizmu.

John Dewey

Filozofia niemiecka i polityka.
German Philosophy and Politics.
Nowy Jork 1942, Putnam.

Największy z żyjących amerykańskich teoretyków pedagogii i wychowania społecznego ogłosił po raz pierwszy tę książkę w roku 1915. Podobnie jak książka Santayany przeszła ona wówczas bez większego echa. Bez porównania więcej uwagi poświęcono jej obecnie, gdy okazało się że filozofia narodowa może kryć w sobie groźne zadatki na przyszłość. Dewey wykazał dowodnie jak filozofia niemiecka związana była zawsze z ruchami politycznymi narodu, jak służyła tym celom wypaczając pewne prawdy. O ile studium Santayany posiada bardziej historyczny i poznawczy charakter, o tyle dzieło Deweya służy pragmatycznej tezie. Dewey kończy swą książkę ostrzeżeniem przed nadmiernym historycyzmem. „Amerykańska filozofia historii musi być filozofią na przyszłość, przyszłość w której wolność i ludzkie współzycie będzie wiarą”.

Sir James Jeans

Fizyka a filozofia.
Physics and Philosophy.
Cambridge 1943. Un. Pr.

Dzieło znanego uczonego angielskiego wydane w pełni wojny nie wywołało takiego zainteresowania na jakie zasługuje. Uwaga czytającej publiczności odwrócona była w innym kierunku a poza tym ta książka Jeans'a jest może trudniejsza od jego poprzednich popularizatorskich prac.

Celem który stawia przed sobą

autor jest przedyskutowanie granic filozofii i fizyki w tych punktach w których obie nauki stykają się ze sobą. Po przeczytaniu dzieła Jeans'a dochodzi się do przekonania że żaden system poznawczy nie może być dzisiaj pełny jeśli nie oprze swych wyników o nauki przyrodnicze. Nawet systemy metafizyczne muszą zrewidować swe tezy, nawet spirytualizm i mistyka wszelkiego rodzaju muszą liczyć się z tymi rejonami poznania które otworzyła przed myślą ludzką nowoczesna nauka ścisła w wyniku ostatnich lat, już podczas wojny. Autor omawia odkrycia fizyki w zakresie budowy atomu, promieniowórczości, przestrzeni, czasu, a w końcowych rozdziałach dyskutuje zagadnienia materii.

Determinizm, indeterminizm, wolna wola, materia a wreszcie poznanie, oto kolejne etapy książki Jeans'a dotyczące filozofii. Przedstawiając jej zależność od badań fizycznych nie deklaruje się on bynajmniej jako zwolennik materializmu. Żądając rewizji nowoczesnej filozofii w oparciu o fizykę, bynajmniej nie rozwiązuje w duchu materializmu XIX stulecia zagadnień najtrudniejszych.

Oto co pisze na końcu:

„Budzi się pokusa aby zamknąć dyskusję przez przedstawienie konkluzji do których dochodzimy. Faktem jest jednak, że konkluzji nie ma. Jeżeli mamy wyciągnąć jakieś ostateczne wnioski, to chyba takie, że wnioski wiedzy z XIX wieku dotyczące kwestii filozoficznych raz jeszcze poddane zostały przetopieniu.

Właśnie dlatego nie możemy wyciągnąć żadnych pozytywnych konkluzji np, że materializm skończył się, lub że deterministyczna interpretacja świata jest przestarzała, ale musimy powiedzieć że determinizm i wolność, materie i materializm wymagają rewizji w świetle naszej nowej wiedzy.

To co zostaje w każdym wypadku dalekie jest od tej pełnokrwistej materii i od nieprzyjemnego materializmu wiktoriańskich uczonych. Ich obiektywny i materialny wszechświat dowiedziono że składa się

z nieco więcej niż z tego co konstruuja nasze własne myśli. W tym i innym zakresie nowoczesna fizyka przesunęła się w kierunku myśli, mentalizmu.

Równocześnie z trudnością możemy powiedzieć, że nowa fizyka usprawiedliwia jakiegokolwiek konkluzje dotyczące determinizmu, przyczynowości lub wolnej woli, ale możemy powiedzieć, że argumenty dla determinizmu w pewnym zakresie są mniej wiążące niż pięćdziesiąt lat temu. Wydaje się, że mamy do czynienia z wypadkiem kiedy otwiera się możliwość dla podjęcia na nowo całej kwestii, tak szybko jak tylko ktoś odkryje sposób w jaki należy to uczynić”.

Książka Jeans'a ostrożna, chwilami nawet sceptyczna, krytyczna w sensie kantowskim, nie może upoważniać ani metafizyka ani materialisty do popierania stawianych tez. Tym większa jest jej wartość. W sposób obiektywny notuje ona punkt do którego doszła wiedza ludzka, punkt z którego otwierają się przed umysłem jeszcze większe horyzonty, nie te jakie znaliśmy dotychczas. W tym leży jej ogromna wartość.

Vernon Venable

Natura człowieka.

The Human Nature.

Nowy Jork 1945, Knopt.

Jest to filozofia i psychologia natury ludzkiej traktowana z marksistowskiego punktu widzenia, co autor zaznacza wyraźnie.

Harvard Committee

Powszechne wychowanie w wolnym społeczeństwie.

General Education in a Free Society.
Cambridge Mass. 1945, Harvard
Un. P.

Dwunastu znanych uczonych amerykańskich zabiera w tym dziele głos na temat wychowania. Książka posiada charakter raczej konserwatywny w zakresie metod i programów, jest jednak niemniej bardzo cenną i ważną dla poznania współczesnej pedagogii amerykańskiej.

Dr. Charlotte Wolff

Psychologia gestu.

A Psychology of Gesture.

Londyn 1945. Methuen.

Autorka znanego studium p.t. „Ręka ludzka” omawia metody interpretacji podświadomych gestów, które są charakterystyczne dla osobowości, temperamentu, nastrojów ludzkich.

James Drever

Psychologia codziennego życia.

The Psychology of Everyday Life.

Londyn 1945. Methuen.

Popularny podręcznik psychologii, który w ciągu krótkiego czasu doczekał się dziesięciu wydań. Wszystkie ostatnie teorie psychologiczne są w nim poruszone w sposób jasny i przystępny.

II. EKONOMIA, SOCJOLOGIA

Henry A. Wallace

Praca dla sześćdziesięciu milionów.

Sixty Million Jobs.

Nowy Jork 1945, Reynal & Hitchcock.

Autor był wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych za trzeciej kadencji Roosevelta, był najbliższym współpracownikiem tego wielkiego prezydenta a zarazem dzięki swoim ideologicznym i ekonomicznym wystąpieniom zyskał głośne imię w Ameryce, jako przewodca polityczny grupy ludzi, którzy pragną pogodzić ingerencję państwa, etatyzm, planowanie z zasadami najszerszej pojętej wolności jednostki i człowieka. Były wice-prezydent Wallace ma w Stanach Zjednoczonych wielu przeciwników, którzy zarzucają mu iż program jego jest zbyt radykalny i którzy sprawili że nie on ale obecny prezydent Truman został wybrany wiceprezydentem podczas ostatnich wyborów.

Obecnie Henry Wallace wystąpił z broszurą w której rozwija program zatrudnienia sześćdziesięciu milionów. Należy wywołać jak największą wydatków prywatnych przy minimum wydatków rządowych tak, aby zamknąć całkowicie

gospodarkę narodową. Wallace wierzy głęboko, że naród amerykański może zorganizować pełne zatrudnienie ludności w granicach inicjatywy prywatnej. Chce widzieć budżet narodowy zorganizowany w ten sposób, by dawał nie tylko obraz wydatków i dochodów rządu, ale także produkcji i konsumpcji narodu. W zależności od takiego budżetu i gospodarczego stanu rzeczy, proponuje aby rząd regulował swą własną politykę wydatków i podatków w ten sposób by wzbogacać masę ludności. Oba zjawiska wzbogacenia i ekonomicznej stabilizacji pracy nastąpią — wierzy Wallace' — przez rozszerzenie „granic obfitości”. Te obejmują rozbudowę, nowe i lepsze osiedla, szpitale i szkoły, zdobycie nowych terenów rolnych energii wodnej oraz rozszerzenie międzynarodowej współpracy ekonomicznej.

Program Wallace'a jest programem pobudzania robót publicznych przez państwo lecz nie prowadzenia ich przez państwo. Wallace jest zwolennikiem ostrożnego rozprowadzania dochodu społecznego pomiędzy konsumentów, przemysł i państwo tak by ciągle utrzymywać w równowadze wszystkie te czynniki.

Ton w którym przemawia Wallace ma w sobie coś z religijności. Liczy on na zdrowy rozsądek, na tradycję Ameryki. Dla niego „dobre czasy” Ameryki winny się zamienić „na pełniejsze i pewniejsze czasy”.

Florence Peterson

Amerykańskie Związki Zawodowe.
American Labour Unions.
Nowy Jork 1945, Harper & Brothers.

Wyczerpujące studium o amerykańskich związkach zawodowych, ich celach i organizacji. Materiał zebrany przez autorkę jest nader szczegółowy i wyczerpujący.

J. R. Hicks i Albert G. Hart

Rany społeczne ekonomii amerykańskiej.
The Social Framework of the American Economy.
Nowy Jork 1945, Oxford Un. Press.

Wstęp do ekonomii ogłoszony w Anglii w 1942 r. ukazał się obecnie w specjalnym wydaniu dla amerykańskich czytelników, zamieniając dane brytyjskie na świeższe amerykańskie. Podręcznik wprowadza czytelnika w zagadnienie stosunku rządu do dochodu społecznego.

M. F. Ashley Montagu

Najniebezpieczniejszy mit ludzki.
Man's Most Dangerous Myth.
Londyn 1945, Millford.

Rozbiór krytyczny faktów o rasie tak jak są one znane uczonym. W nowym wydaniu autor przeprowadza również dyskusję na temat społecznej choroby rasizmu.

James Parkes

Wróg ludu: antysemityzm.
An Enemy of the People: Antisemitism.
Londyn 1945, Penguin Books.

Autor rozlicznych studiów o antysemityzmie omawia historię współczesnego antysemityzmu oraz sposoby zwalczania go.

III. LITERATURA, SZTUKA

John K. Ewers

Twórczość literacka w Australii.
The Creative Writings in Australia.
Melbourne 1945. Georgian House.

Zarys historii literatury australijskiej od najwcześniejszych czasów kolonizacji do dnia dzisiejszego.

Hilton Brown

Rudyard Kipling.
Londyn 1945. Hamish Hamilton.

Nowa monografia o znakomitym pisarzu. Autor poświęca w niej wiele miejsca stosunkowi Kiplinga do współczesnej mu krytyki angielskiej.

Paul G. Trueblood

Rozkwit geniuszu Byrona.
The Flowering of Byron's Genius.
London 1945. Milford.

Studia literackie nad Bajronem głównie nad Don Juanem.

Francis Henry Taylor

Wieża Babel.

Babel's Tower.

London 1945. Milford.

Dyrektor Metropolitan Museum w Nowym Jorku omawia nie bez krytycznego stosunku do rzeczywistości stan współczesnego muzealnictwa i społeczną rolę muzeów w przyszłości.

IV. NAUKI ŚCISLE, TECHNIKA

D. P. Geddes i G. Wendt

Otwiera się wiek atomu.

The Atomic Age Opens.

Nowy Jork 1945, Pocket Books.

Historia odkrycia energii atomowej, wytłumaczenie jej istoty oraz przyszłość wynalazku, nie bez pesymistycznego spojrzenia na rzeczywistość.

S. E. Veale

Samoloty, lotniska i drogi lotnicze jutra.

To-morrow's Airliners, Airways and Airports.

Londyn 1945. Pilot Press.

Poważne studium na temat rozwoju lotnictwa wszelkiego rodzaju oraz dróg komunikacyjnych lotniczych w przyszłości.

Henry W. Roberts

Radio lotnicze.

Aviation Radio.

Nowy Jork 1945. W. Morrow & Co

Monografia użytku radia dla celów lotniczych.

Ralph G. Hudson

Wstęp do elektroniki.

An Introduction to Electronics.

Nowy Jork 1945. Macmillan.

Jasny wykład techniki elektrownowej w zastosowaniu do techniki radaru, radia, radu, telewizji.

Revolucja w koloniach

Revolution in the Colonies.

Wstęp A. Creech Jones.

Londyn 1945.

Dyskusja na temat problemów i trudności kolonialnych wydana przez British Association for Labour Legislation.

Andrew Row

Dylematy Japonii.

Dilemma in Japan.

Boston 1945. Little, Brown & Co.

Wszystkie zasadnicze problemy japońskie zarówno te które doprowadziły Japonię do klęski, jak i te które stają przed zwycięzcami porusza autor dając zdecydowane i jasne odpowiedzi.

K. F. Bieligh

Postęp na drodze do pokoju świata.

Progress to World Peace.

Londyn 1945. Hutchinson.

Książka pacyfisty niemieckiego omawiająca problemy pokoju wszechświatowego zarówno w niedawnej przeszłości jak i w przyszłości.

Liga Narodów

League of Nations 1943-44.

Londyn 1945. Allen & Unwin.

Sprawozdanie sekretarza generalnego Ligi i działalności w roku 1943-44.

C. Wilfred Jenks

Kwatery główne międzynarodowych instytucji.

The Headquarters of International Institutions.

Londyn 1945. R. Inst. of Int. Aff.

Przegląd najważniejszych problemów związanych z wyborem siedzib dla przyszłych międzynarodowych instytucji, tak aby zapewnić im niezależność od wszelkiej kontroli państwowej.

K. M. Panikkar

Indie i Indyjski Ocean.

India and the Indian Ocean.

Londyn 1945. Allen & Unwin.

Autor „Przyszłości południowo-wschodniej Azji”, znawca stosunków indyjskich stwierdza w swoim studium, że przyszłość Indii związana jest bezwzględnie z morzami. Indie nie mogą zgodzić się na egoistyczny punkt widzenia że kontrola dróg morskich jest zadaniem W. Brytanii i że wolność Indii ma rozwijać się w jakimś magicznym kręgu protegującej siły.



Telephon:

GER. 6847



HONG KONG

CHIŃSKA RESTAURACJA

58-60, Shaftesbury Avenue
London, W. 1.

otwarta do godz. 10 w nocy.

ESPLANADE

HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT
LONDON, W. 9. Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz
telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała
kuchnia polsko-rosyjska

MÓWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd: Stacja kolei podziemnej
Warwick Ave. na błąkowej linii.

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń,
Advertising Offices, The Carlton Berry
Co., Grand Buildings, Trafalgar Square,
London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108,

.... A TYMCZASEM
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU PRZY DŹWIĘKACH PŁYT **DECCA**

Staraniem Funduszu Kultury Narodowej ukazały się dwa tomy pracy zbiorowej p.t.

STRATY KULTURY POLSKIEJ 1939-1944

pod redakcją

ADAMA ORDEGI I TYMONA TERLECKIEGO.

Tom I i II obejmują następujących pracowników kulturalnych:

Helena d'Abancourt. — X. Stanisław Bednarski, T. J. — Wacław Berent. — Ludwik Bernacki. — Józef Birkenmajer. — Rafał Blueth. — Wiktor Brummer. — Mieczysław Chłapowski. — Ignacy Chrzanowski. — X. Nikodem Cieszyński. — Jędrzej Cierniak. — Stanisław Cywiński. — Kazimierz Czapiński. — Zofia Czaplinska. — Aleksander Dmochowski. — Bronisław Dembiński. — Bohdan Dyakowski. — Edward Dubanowicz. — Stanisław Estreicher. — Bronisław Gembarzewski. — Hipolit Gliwic. — Adam Heydel. — Edward Klich. — Jan Karol Kochanowski. — Stefan Kolaczkowski. — Karol Ludwik Koniński. — Stefan Kopeć. — Kazimierz Kostanecki. — Rudolf Kotuła. — Lucyna Kotarbińska. — Felicjan Kowarski. — Ludwik Krzywicki. — Roman Leszczyński. — Jan Lorentowicz. — Karol Lutostański. — Zygmunt Łempicki. — Józef Morawski. — Stefan Napierski. — Jan Nowak. — Witold Noskowski. — Julian Pagaczewski. — Józef Pankiewicz. — Stanisław Piasecki. — Stanisław Pilat. — Zygmunt Piotrowski. — X. Józef Prądyński. — Tadeusz Pruszkowski. — Ludwik Puszet. — Ferdynand Rabowski. — Stanisław Rogowski. — Michał Rostworowski. — Roman Rybarski. — Józef Ruffier. — Stanisław Schayer. — Franciszek Siedlecki. — Michał Siedlecki. — Józef Siemiński. — Jerzy Smoleński. — Michał Sobeski. — Oskar Sosnowski. — Stanisław Stanisławski. — Rudolf Świerczyński. — Dorota Seydenman. — Władysław Soltan. — Władysław Takiński. — Karol Tichy. — Andrzej Tretiak. — Józef Trzebiński. — Bolesław Andrzej Waligóra. — Wacław Wąsowicz. — Stanisław Windakiewicz. — Stanisław Ignacy Witkiewicz. — Edward Wittig. — Stanisława Wysocka. — Aniela Zagórska. — Kazimierz Zakrzewski. —

Tom I — stron 570, tom II — stron 560.

Cena każdego tomu 30 szylingów.

Do nabycia: Książnica Polska — Glasgow, 242, Hope Street.

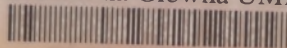
3/-



Published by „Nowa Polska”, 91 Great Titchfield Street, London, W.1, and printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street London, factory. — Tel.: MUSEum 1409.

3/-

Biblioteka Główna UMK



300043899795

NOWA POLSKA JEST
DO NABYCIA W KRAJU WE
WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH SPÓŁDZIELNI
„CZYTELNIK”



NOWA POLSKA jest największym i najpoważniejszym dziś periodykiem w języku polskim.

NOWA POLSKA służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej, reprezentuje kulturę polską i dociera do wszystkich środowisk inteligencji emigracyjnej na całym świecie.

NOWA POLSKA pozyskała najwybitniejszych pisarzy, publicystów poetów emigracji. W Nowej Polsce ogłosili utwory następujący autorzy:

Andrzejewski, Baliński, Bartosik, Bloch, Boguszewska, Bramson, Broniewski, Cękalski, Ciołkosz, Czarnomski, Czuchnowski, Danilewiczowa, Domański, Dziewanowski, Estreicher, Eydziatowicz, Falska, Fiedler, Gazda, Görka, Gotlib, Gross, Grosfeld, Grubiński, Haupt, Hemar, por. Herbert, Horzelski, Hertz, Hładki, Iwaszkiewicz, Janta, Karpiński, Kittay, Kneblewski, Konarska, Korian, Kossak-Szczucka, Kossowski, Kot St., Kriedl, Krzywan, Krzywicka, Kuczyński, Kuncewiczowa M., Kuncewicz J., Lisiewicz, Łagniewski, Łęczyc, Łobodowski, Malczewski, Malessa, Malinowski, Markowski, Machalski, Mrozowski, Muczkowski, Naglerowa, Nagórski, Nalkowska, Olcha, Ordega, Pawlikowska, Parnicki, Piotrowski M., Polczyński T. J., Potworowski, Pomian, Pragier, Piskor, Pruszyński M., Pruszyński Ks., Poznański, Piątkowski, Raczyński E., Slonimski, Sokolow, Stankiewicz, Stańczyk, Strzałkowski, Stawiński, Stempowski, Strasburger, Szerer, Szczepański, Szerbic, Szczytt-Lednicka, Solski, Terlecki, Themerson, Topolski, Tuwim, Tuwimówna, Waliński, Wilk, Wieniewski, Winiewicz, Wilga, Wittlin, Wójcicki, Zahorska, Zasławski, Zamoyski, Zubrzycki, Zweig, Żuławski, Żyw.

Nowej Polski zeszyty miesięczne stanowią objętość większej książki, a są jednak w przystępnej cenie s. 3ch-. Abonament roczny z przesyłką:

	za 1 rok:	za 2 lata:
w W. Brytanii i Dominjach w Europie i		
Ameryce	£1 16 0	£3 0 0
Roczniki Oprawne za 1942... ..	£1 6 0	
„ „ „ 1943... ..	£1 15 0	
„ „ „ 1944... ..	£2 0 0	
Prenumerata wieczysta		£25 0 0

Adres: 91, Great Titchfield St., London, W.1.
TEL. MUS. 1409

Zagraniczni abonenci proszeni są o nadsyłanie opłaty z góry w postaci Imperial Postal Orders — lub czeków, wojskowi za pośrednictwem „POCZTY POLOWEJ”.

PRENUMERATY KRAJOWE PRZYJMUJE „CZYTELNIK”

POLISH ARTISTS

IN GREAT BRITAIN

with an essay on POLISH ART by

C. POZNAŃSKI

5/6

Published by „NOWA POLSKA” LONDON W.1